

POLSKA WALCZĄCA

ŻOŁNIERZ POLSKI NA OBCYZYŃNIE

FIGHTING POLAND — WEEKLY FOR THE POLISH FORCES — PRICE TWOPENCE

Wychodzi co tydzień.

Dnia 24-go sierpnia 1940r.

Rok II. Nr. 24

NOBILITACJA I EGZAMIN

Dwa światy—dwa światopoglądy toczyły z sobą walkę u schyłku osiemnastego wieku w Polsce, zanim wraza siła najeźdźców rozdarła ją na trzy części i pogrzebała w niewoli u obcych.

Jedni—zwolennicy rządów rzymskiej elity narodu, szlachta się zwącają—pod osłoną swobód obywatelskich tej warstwy bronili prywaty, sobkostwa, swawoli lub zdrady nawet, stawiając sukces własny ponad publiczny, ogalając kraj z elementów zdolnych do jej obrony, pozbawiając go środków na utrzymanie armii, trzymając olbrzymią większość narodu poza prawem do wolnego życia i bronięcia kraju w chwilach niebezpieczeństwa.

Dawno zapomniano rycerskich zwyczajów przodków, ojcowskiego opiekowania się ludem, niesienia i pomnożenia krajowi i światu wartości kultury i nauki, tych wartości, które uprzednio Polskę w szeregu cywilizowanych i kulturalnych krajów wysoko stawiały.

Drudzy—wyznając zasady płynące z źródeł rewolucji francuskiej: wolności, równości i braterstwa pragnęli uczynić je obowiązującymi w swoim kraju. Wolność człowieka i wyzwolenie mas chłopskich z poddaństwa, równość praw i obowiązków w ojczyźnie, hasło braterstwa tak wewnątrz wobec swoich jak i na zewnątrz, w imię Chrystusowej zasady miłowania bliźniego swego—były motorem działania tych ludzi, którzy, widząc zło działali i pragnęli uchronić Polskę od zagłady i upadku.

Grzmi największy kaznodzieja narodu ks. Skarga, walczą Staszyc i Konarski, głosi te hasła Kościuszkę, wprowadzając—u brzośmów w siernięcie chłopską—chłopów na pola walki o ojczyznę, która im dołądzi tylko macochą była, nobilitując ich po raz pierwszy w historii na pełnoprawnych żołnierzy i obrońców Polski.

Niestety—mimo zapoczątkowanych reform państwowych w Konstytucji 3-majowej—zbyt osłabiona już była siła kraju, zbyt rozpanoszona zdrada, zbyt duża siła wrogów. Zwyciężyły nie zasady prawa i sprawiedliwości, ale zło podpisane przez tych, którzy przez pierś Rejtana poszli przypieczętować swoją hańbę i upadek niepodległości państwowej Polski.

Ale, zapowiedź Polski nowej, matki dającej wszystkim swym synom wolność i prawa, sprawiedliwość i braterskie potraktowanie wszystkich—mimo, że niestety nieprzyjacieli dopiero z poddaństwa lud polski wyzwolił—nakazała temu ludowi budzić się do świadomości narodowej, do trwania i walki o jej wyzwolenie. To też, gdy nadszedł decydujący moment tej walki po wojnie światowej nie zabrakło synów tebo ludu—polskich chłopów, robotników—którzy obok innych z bronią w ręku stanęli wskrzesić do życia swą wymarzoną i wyśnioną, wolną i niepodległą Polskę. Nie brakło ich w Legionach Piłsudskiego, armii Hallera, w powstaniach wielkopolskich, śląskich, pod Lwowem i t.d.

Przychodzi rok 1920. Wróg wali na kraj co dopiero wyzwolony krwią szerokich mas narodu polskiego, by go zagarnąć. Przychodzi zdawać egzamin. Gdy tym razem Polska zginie, już nie szlachta, już nie jedna warstwa będzie odpowiadać za jej upadek, ale wszystkie warstwy społeczeństwa uobywatelnione, a w nich ta ogromna 70% warstwa chłopska

i robotnicy. Nobilitowany na żołnierza i obrońcę kraju przez Kościuszkę chłop polski—pełny obywatel nowej Polski—rozumiał, że trzeba zdać egzamin i ponieść odpowiedzialność.

Po świecie pracowała jeszcze wroga i fałszywa propaganda. Że tam w Polsce toczy się walka jakoby panów—obszarników i kapitalistów—przeciw tym, którzy niosą światu gniew i wyzwolenie ludu, a tam w Polsce po raz pierwszy wszyscy dobrzy jej synowie, a pomiędzy nimi właśnie masy ludu polskiego, po raz pierwszy pełni obywateli kraju, bronili swej ziemi, swego warsztatu, swego państwa, za którego utrzymanie ponosili pełną odpowiedzialność. Żywym symbolem tych uczuć i politycznych dążeń jest Rząd Jedności Narodowej z Witosem, przedstawicielem chłopów polskich i Daszyńskim, przedstawicielem robotników na czele. W chwili największego niebezpieczeństwa rozlega się głos Wincentego Witosa do kraju i masa chłopska rozumie, że czas spełnić obowią-

zek, i posłuchawszy wezwania—spełniła go.

Dzień 15 sierpnia 1920 dzięki bohaterstwu żołnierza polskiego i dzielności dowódców przypieczętował zwycięstwo. Ale był on również świadectwem dobrze zdanego egzaminu dziejowego, gdzie to masy ludu polskiego w pełnym poczuciu swego obowiązku i odpowiedzialności dobrze wywiązały się z swego zadania.

Nie był to jedyny egzamin ludu polskiego. Mijają lata wolnego bytu państwowego. Przychodzi rozrządzić gmach państwowy. Przedstawiciele tego ludu, wybierani jeszcze w wolnych wyborach do parlamentów polskich dają temu krajowi konstytucję, uznającą równość wszystkich obywateli wobec praw i obowiązków, uchwalając podstawy materialne armii, a lud świadczy i pracuje w pocie czoła i niedoli, dorzucając cegiełkę do cegiełki. Lud polski zdaje egzamin obywatelski. Spełnia wiernie swój obowiązek nawet wtedy, kiedy to twórcy

nowej konstytucji, pozbawiają go pełni praw obywatelskich, stwarzając przywileje dla nowej szlachty, elity, która rządzi krajem wbrew woli społeczeństwa i wbrew jego interesom. Zachowuje swą godną i nieugiętą postawę mimo prześladowań, protestuje przeciw błędowi i śmiertelnym grzechom polityki zewnętrznej i wewnętrznej mimo kar, więzień, a nawet salw policyjnych, wymierzonych w serce tych, którzy nie dobra własnego, a kraju przede wszystkim pragnęli.

Przychodzi tragiczny wrzesień 1940. Zostawiają swą armię pasowane na dyktatorów w Polsce wielkości, unoszą się w bezpieczne miejsce twórcy pakto-ów nieagresji i współpracy z Niemcami i towarzysze polowań z Białowieży, wędrują długie sznury tych zagranicę którzy w kraju rozkazem za pomocą mandatu i pałki, kuli, Brześcia lub Berezy pragnęli "za pysk"—jak się to popularnie mówiło—trzymać naród polski.

Walczą armia polska bo-

hatersko, pozbawiona dowództwa, walczą żołnierze polski, syn tego ludu gnębiętego, dla którego wspomnienia ostatnich lat nieraz koszmarem były. Walczą mimo beznadziejności sytuacji, mimo braków, które teraz dopiero wyszły na jaw, gołym ciałem nie raz przeciw żelazowi i opancerzeniu wroga i najeźdźcy. Egzamin zdany.

Przegrywamy bitwę wrześniową. Ale walka trwa. Nie załamuje się naród, nie załamują się mimo prześladowań, poniewierki, wysiedlenia, pohańbienia—szeregi ludu polskiego pod okupacjami wrogów. Nie ma Hachów pomiędzy synami ludu polskiego. Przywódcy tego ludu albo zostawczy w kraju, zginęli od kul sądów do-raznych, powędrowali do więzień, albo przedostawczy się zagranicę w szeregach żołnierskich, gdzie się znaleźli czasie wojny, albo też przez zielone granice przedarłszy się, poszli pełnić swoją służbę dla kraju dalej, w przeciwieństwie do tamtych—którzy nawet na emigracji nie poprzestali działać szkodzących sprawie polskiej.

Żołnierz polski, pokonuje trudności straszliwe, by znaleźć się w szeregach nowej armii w Francji. W szeregach staje również ten żołnierz, syn chłopów i robotników, który w kraju chleba nie dostawczy dla siebie, u obcego go musiał szukać. Ale idzie ochotnie walczyć o Polskę. Zdaje egzamin. Niesie sławę imienia polskiego, żołnierz polski, poprzez pola Norwegii i Francji, na dalekich morzach, w przestworzach powietrznych—i walczy.

Niepowodzenia trwają, ale nie załamuje się wiara. Na ziemi angielskiej nowa tworzy się armia polska. W lasach szkockich, ponieważ kraj daleko, przy obozie powstaje mapa Polski, tej, która żyje w sercach naszych, a ręce żołnierskie po trudach ćwiczebnych budują w miniaturze, w obrazie sztucznym to, co w sercu najgłębiej tkwi i żyje, byle być bliżej Ukochanej. Tak żołnierze nasi—między nimi również synowie ludu polskiego—trwają gotowi do walki tak, jak tamci w kraju i zdają egzamin żołnierza i obywatela.

Żołnierze—prześciera dziś nie grają roli. Dzielny lotnik angielskiej w ciągu jednej nocy potrafi zanieść pożogę wojny z ziemi ojczystej nad Mediolan czy Turyn. Wygra ten, który wytrwa, który moralnie się nie załamie i kto ma zdecydowaną do ostateczności wolę walki i zwycięstwa. Lud polski—bracia nasi w kraju trwają, wierzają i walczą. Walka znowu idzie o wolność—równość—braterstwo—sprawiedliwość. Wolność człowieka i narodów—równość narodów wszystkich—i małych i dużych—i prawo do samodzielnego życia—zapewnienie miłości, pokoju, chrześcijańskiego współżycia pomiędzy ludami i narodami—sprawiedliwośći zamiast panowania gwałtu silniejszego nad słabszym, zła i bezprawia.

Walka rozszerza się i wojna co raz dalsze zatacza kręgi i co raz bardziej stawać się będzie zacięta. Skończyć się musi zwycięstwem tych, którzy krwawym dyktatorem świata przeciwstawiają walkę o nazwnościjsze ideały.

A historyk na pewno napisze, że i w tej walce synowie ludu polskiego—obok innych—dobrze zdali egzamin.

Stanisław Mikołajczyk

Chcę być człowiekiem

Oto ustęp z listu młodego lotnika:

"Teraz każdy dzień, to rocznica najpiękniejszych dni mojego życia: ze Stockholmu wyjechaliśmy jachtem 4/VIII—39-ego roku. W szkerach wybieraliśmy najtrudniejsze miejsca, żeby mieć potem rozkosz panowania nad lodziami—im cięższe przejście, tym rozkoszniejszy odpoczynek. Ta wojna teraz, to też taka trochę dzika jazda—przyszłość wynagrodzi nam trudny. W każdym razie zdobędziemy uczucie pewności w sterowaniu."

Pod koniec listu—wiersz Kiplinga, znakomitego pisarza angielskiego—wiersz, który lotnikowi ktoś dał na drogę przy jego odjeździe z Francji. Przelatamczony prozą na polski, ten wiersz tak brzmi: "Jeśli zdolasz spojrzeć na dzieło twego życia—zniszczone, i natychmiast, bez słowa, przystąpisz do odbudowy,

Jeśli, napotkawszy triumf po klęsce, z twarzą jednaką obie te zdudy przyjąć potrafisz, Jeśli stać cię będzie na zachowanie odwagi i rozsądku w chwilach, gdy wszyscy je tracą—Wtedy królowie, bóstwa, szczęście i zwycięstwo staną się na zawsze twymi niewolnikami, Ty zaś staniesz się czymś, co postokroć jest uspanialsze, niż królowie i sława. ... Staniesz się, mój synu: człowiekiem."

Lotnik dodaje: "strasznie mi ten wiersz odpowiada." Niech mi przebaczy młody lotnik, że jego zwierzenie osmieliłam się podać do publicznej wiadomości. Robię to z wstydem za własną niedyskrecję, z żalem, że stracił może zaufanie jednego z najcenniejszych moich korespondentów, ale i z głębokim przekonaniem, że ten urywek listu będzie mógł wielu pokrzepić tak samo, jak mnie pokrzepił, a teraz bardzo wszystkim otuchy potrzeba.

Rok temu Polacy byli szczęśliwi. Nawet ci, którzy przeżywali nieszczęścia osobiste, dziś wiedzą o ile łatwiej było je znieść, kiedy na pociechę szumiły polskie drzewa, polskie wody a śmierć prowadziła do znajomego ementarza.

Dziś to jednak, nie w zeszłym błogim sierpniu, przychodzi z tulaczego wojska w Anglii głos młodego Polaka: "strasznie mi ten wiersz odpowiada." Wiersz, który mówi: "Natychmiast, bez słowa, przystąpisz do odbudowy."

Doprawdy, mimo krótkości swego żołnierskiego żywota, miałby prawo młody Polak rozpaczć, że "dzieło całego jego życia zniszczone." Czyż bowiem to, co runęło najpierw w Polsce, potem we Francji, nie było przedmiotem najcięższych jego trudów i najdroższych marzeń?

"Staniesz się czymś, co postokroć jest uspanialsze, niż królowie i sława. Staniesz się, mój synu: człowiekiem."

Człowiekiem bez dodatku "sławny," "bogaty," "szczęśliwy" ? Kariery człowieka bez określeń, nawet w najnormalniejszym czasie rzadko się ludziom uśmiecha. Każdy raczej pragnie się stać bankierem, ministrem, prezesem, niżeli po prostu "człowiekiem."

Odbudowywać bez ziorzeczeń zniszczonego dorobek, zachowywać się jednakowo w złej i w dobrej doli, zostawczy mocarzem, nie zapomnieć przyjaciela z lat chudych, nie kopać wroga, który uległ, być odważnym pomiędzy tchórzami, być rozumnym pośród gromady szaleńców—nie są to cele ponętne ani w poezji, ani w życiu.

Na to, by "strasznie odpowiadały" komuś, trzeba wielkiej dojrzałości. Ale nieszczęście—dla silnych—bywa uspaniałą szkołą. Bywa egzaminem, gwarantującym dojrzałość pewniejszą, niż matura.

Jeżeli młodzi ludzie z tej wojny nieludzkiej wyniosą miłość do człowieczeństwa, politycy będą mogli być o los świata spokojni.

W Polsce, w której mieszkać będą ludzie, nie będzie złych Polaków. Powiem szczegółowiej: nie będzie złych doktorów, złych szewców, złych polityków.

Zamatośmy myśleli o tym, co znaczy "człowiek." Pobyt w Anglii może nas co do tego w wielu wypadkach oświecić. Nie dawno słyszałam, jak lekarz angielski powiedział o swoim polskim koleźce: "to bardzo dobry człowiek." Okazało się, że nie znał go wcale. Dowiedział się tylko o jego sposobie leczenia jakiegoś przypadku choroby i sposób ten uznał za dobry. Dobry człowiek w rozumieniu Anglika, to człowiek odpowiedzialny. To dobry fachowiec, dobry towarzysz. Taki, co nie weźmie pieniędzy za darmo, nie wyzyska cudzej nieświadomości, czy bezbronności,—taki, co talentu danego od Boga (zwłaszcza talentu pracy, który każdemu jest dany) nie zakopał w ziemi. Taki po prostu, co wie, że Bóg na niego patrzy.

Jeżeli w dobie najbardziej szaleńczego rozpętania nienawiści rasowych i nacjonalistycznych—których to nienawiści Polska jest krwawiącą ofiarą—młody Polak pisze z wojska: "chcę być człowiekiem"—znaczy to, że nabrał "pewności w sterowaniu." I że jego wojna będzie zwycięska: przyniesie pokój ludziom dobrej woli.

Świat ludzi dobrej woli, to świat szczęśliwej Polski. Oby jak najprędzej się ziszcil.

Maria Kuncewiczowa

Napór czerwonego imperializmu

Po zagarnięciu w zdradziecki sposób całej wschodniej i południowo-wschodniej Polski, po wydarciu Finlandii ważnego terytorium pomimo bohaterkiej i krwawej obrony tego nielicznego, ale wspaniałego narodu,—zajęła Rosja bolszewicka Bessarabię i północną Bukowinę, by niemal bezpośrednio potem wchłonąć trzy państwa nadbałtyckie—Litwę, Łotwę i Estonię.

Utracili niepodległość małe narody, nie mające z Rosją nic wspólnego ani pod względem językowym, ani religijnym, ani narodowym czy kulturalnym. Ta sama Rosja bolszewicka głosiła w swoim czasie zasadę samostanowienia narodów, uznała z własnej i nieprzymuszanej woli niepodległość Polski, Litwy, Łotwy, Estonii. . . . Chlubila się takim stanowiskiem, jako jedną z podstawowych zasad nowego stwarzanego przez siebie porządku. Złamała tę zasadę, już w 1920 roku, kiedy wywołała wojnę z Polską i usiłowała—na szczęście bezskutecznie—zdławić w zarodku jej odrodzony byt państwowy.

Dzisiaj czerwony car, siedzący na Kremlu w Moskwie, obrósł już na tyle w pierze, w siłę i przebiegłość w swej międzynarodowej działalności, że nie sobie nie robi z żadnych kiedys ogłoszonych hasel czy zasad, depcze cynicznie wszelkie założenia programowe, które mu niegdyś mogły być potrzebne dla obalania liczących dawną carską Rosję, a w jeszcze większej mierze dla pozyskania sympatii robotników i idealistów innych krajów, nie mających pojęcia ani o rzeczywistości rosyjskiej, ani o bezgranicznym zakłamaniu bolszewickich przywódców.

Każdy nowy zabór uzasadnia się w inny nieco sposób. Polskę napadnięto pod pozorem wyzwania ludu ukraińskiego i białoruskiego z pod ucisku polskich panów; Bessarabia należała się rzekomo Rosji, jako niesłuszną jej zabraną po wojnie poprzedniej; Bukowina ma być zamieszkała przez lud ruski, który "marzył" o dostaniu się pod opiekuncze skrzydła wielkiej Republiki Sowieckiej.

Wszystkie te argumenty nie nadawały się dla państw nadbałtyckich. Zastosowano przeto inną "metodę"—nacisk polityczny poparty bezpośrednią groźbą użycia siły zbrojnej. A pamiętać trzeba, że Rosja już zawczasu przygotowała sobie grunt do ostatnio przeprowadzonego "zabiegu": wymusiła na wszystkich trzech państwach zgodę na wprowadzenie rosyjskich garnizonów do miast portowych i niektórych miast wewnętrznych. Mogła więc grozić nie tylko wkróceniem swej armii, ale wprost użyciem załóg własnych okupujących ważne ośrodki tych krajów. Wymuszono zmianę dotychczasowych rządów na rządy nowe, złożone z samych komunistów, agentów Moskwy, i zorganizowano komedię "dobrowolnego" przystąpienia do Federacji Sowieckich Republik.

Rosja bolszewicka jawnie kroczy drogami wytyczonymi zdawna przez imperializm carski. Wraca nad Bałtyk, zdobyty w swoim czasie przez Piotra Wielkiego. Dla zdobycia panowania nad tym morzem podbija trzy niezawisłe, lecz nie mogące się same obronić narody, niesie im ucisk polityczny i narodowy, terror "cherezwydzajek" i nędzę wszechrosyjską.

Granice Rosji przesunęły się poważnie na zachód i południe. Stało się to niewątpliwie w porozumieniu z Hitlerem. Już przymusowe przesiedlenie Niemców nadbałtyckich wskazywało na to, że Hitler zrezygnował ze wschodnich brzegów Bałtyku na rzecz swego bolszewickiego partnera. Obecne zajęcie Estonii i Łotwy jest urzeczywistnieniem zasadniczego porozumienia. Można jedynie mieć wątpliwości, czy również Litwa była porozumieniem objęta, czy czasem Stalin nie przekroczył jego granic i nie skorzystał z wielkich kłopotów Hitlera na Zachodzie, by wziąć za jednym zamachem wszystko, co się da, a więc i tę

Litwę, która przed Wielką Wojną należała do Rosji carskiej i której zajęcie daje tak ważną strategicznie bezpośrednią granicę z Prusami Wschodnimi?

Hitler i Stalin gotowi są zgodzić i wspólnie popełnić zbrodnię i grabież, ale jak zwykli gangsterzy chętnie przy okazji wzajemnie się oszukują i patrzą sobie na ręce.

Odyskując utracone prowincje Rosji carskiej zaspakaja Stalin imperialistyczne apetyty Rosji bolszewickiej, rozciąga ustrój komunistyczny na nowe tereny, przez co stwarza nowe szanse dla szerzenia rewolucji bolszewickiej w świecie, a jednocześnie zajmuje dogodniejsze pozycje na wypadek możliwego starcia z Niemcami; starcie takie jest w przyszłości nie tylko możliwe, ale prawdopodobne. Nikt, oczywiście, przewidzieć nie zdoła kiedy i w jakich warunkach do starcia tego dojdzie. Nie ulega wątpliwości, że w interesie Polski leży, by współdziałanie niemiecko-rosyjskie jak najprędzej ustało i przestoczyło się w otwartą walkę.

Pokłócenie Niemiec z Rosją leży również w interesie Wielkiej Brytanii, gdyż niewątpliwie przyspieszyło by to zwycięstwo nad Niemcami. Stąd próby nawiązania lepszych z Rosją stosunków, próby nie tylko usunięcia wzajemnych tarć, ale nawet dojścia do głębszego porozumienia. Trudność zasadniczą tkwi w tym, że Rosja prowadzi stale grę więcej, niż dwulicową, że z azjatycką przebiegłością i z iscie rosyjskim cynizmem żongluje słowami i czynami, które z zasady ze sobą się kłócą, że żadnych zobowiązań nie dochowuje, a jeśli je zaciąga, to tylko po to, by czujność przeciwnika uspić i na zerwanie zawartej umowy zrobić interes w odpowiednim dla siebie momencie.

Zabór Estonii, Łotwy i Litwy stawia przed Wielką Brytanią konkretne zagadnienie uznania tego zaboru. Postawie tych trzech państw, akredytowani przy rządzie angielskim, zapretowali przeciwko agresji

rosyjskiej, a Ambasador rosyjski zgłosił się w Foreign Office jako przedstawiciel także i nowo-przylączonych państw. Anglia nie jest w stanie wojny z Rosją, wysłała niedawno nowego swego przedstawiciela do Moskwy celem unormowania i naprawienia wzajemnych stosunków. Ale Anglia z drugiej strony walczy o wolność narodów i o panowanie prawa w życiu międzynarodowym. Rozstrzygnięcie trudne. Utrudnione przez to jeszcze, że z punktu widzenia formalnego Estonia, Łotwa i Litwa same postanowiły przylączyć się do Rosji. . . .

Należy przypuszczać, że Anglia—może nie natychmiast, ale po pewnym czasie—pogodzi się z rosyjskim panowaniem nad Bałtykiem i uzna nowe zabory. Przeważają zapewne nie tyle względy oportunistyczne, ile zasadnicza niechęć Anglii do konfliktu z Rosją, zwłaszcza w okresie rozstrzygającej walki z Niemcami. Za takim rozwiązaniem przemawia także okoliczność, że liczne koła brytyjskie zapatrują się krytycznie na celowość istnienia bardzo małych państw państwowych, a popierają związki większe, dające podstawę zarówno do uregulowania stosunków gospodarczych na szerszą skalę, jak i do tworzenia zespołów silniejszych pod względem zdolności do obrony przed obcą napaścią. Prądy te znajdują wyraz w licznych studiach i ożywionej dyskusji nad sfederowaniem przyszłej powojennej Europy. Rosja bolszewicka jest formalnie federacją (związkiem) licznych republik; powiększenie liczby sfederowanych w tym związku republik może się wydawać pożądane z punktu widzenia stopniowego pochodu ku Federacji Europejskiej. . . .

Bez względu na to, jak każą postąpić Wielkiej Brytanii jej własne interesy, my musimy ze stanowiska polskiego stwierdzić, że żaden projekt złączenia państw i narodów europejskich w jakąkolwiek wspólną organizację nie będzie mógł być urzeczywist-

niony, jeżeli nie będzie oparty na dobrowolnym do niego przystąpieniu, na zupełnej niezawisłości wewnętrznego życia narodowego i na poddaniu się wszystkim uczestnikom jednemu, wspólnemu dla wszystkich prawu. Bolszewicki Związek Socjalistycznych Republik jest pozbawiony wszystkich tych elementów. Oparty jest na gwałcie i przemocy; narody, zamieszkujące poszczególne Republiki, nie mogą rozwijać własnego życia narodowego, a podlegają brutalnej, bezwzględnej rusyfikacji; najjaskrawszy po temu przykład stanowi Ukraina, która jest tylko pojeździem administracyjnym, a nie korzysta z żadnych swobód narodowych.

W pewnej, wyjątkowej konjunkturze wojennej, może być pożądane, by Niemcy nie korzystali z pomocy Rosji, a raczej miały z tej strony trudności; ale na dalszą metę nie można zaliczać Rosji do tych państw, z którymi trwała współpraca jest pożądana i możliwa. Przeciwnie. Rosję wszystko łączy z hitlerią. Bezbożnictwo bolszewickie jest takim samym, jeśli nie jeszcze gorszym, wrogiem chrześcijaństwa, jak poganizm hitlerowski Niemiec. System rządzenia przy pomocy terroru i okrucieństw G.P.U., niczym się nie różni co do istoty rzeczy od hitlerowskiego systemu, opartego na bezceństwach Gestapo. Bolszewicy od dawna stosują masowe przesiedlenia ludności w celu wynarodowienia i zniszczenia wszelkiego oporu politycznego; Niemcy ich ściśle w tym barbarzyństwie naśladowują. Ani wolność jednostki, ani elementarne bezpieczeństwo jej życia i mienia nie istnieją w obu państwach.

Wszelkie wzmocnienie i poparcie Rosji w jej zaborczej polityce zbliża do Europy zachodniej niebezpieczeństwo komunizmu w jego rosyjsko—azjatyckiej postaci; przesuwa na zachód granice chrześcijańskiej i łacińskiej kultury; odwraca uwagę i siły Rosji od Dalekiego Wschodu,

przez co uspakaja Japonię od strony rosyjskiej, dając jej wolną rękę w rozwijaniu akcji przeciwko Wielkiej Brytanii w sferze jej azjatyckich i może australijskich interesów.

W swej wielkiej mowie wygłoszonej w dniu 1 sierpnia na 17-ej sesji Najwyższej Rady Sowieckiej Mołotow, Prezes Rady Komisarzy ludowych i komisarz do spraw zagranicznych, stanowczo zaprzeczył pogłoskom o rzekomych rozdźwiękach pomiędzy Rosją a Niemcami. Oświadczył—przeciwnie—że "dobrosąsiedzkie i przyjazne stosunki, jakie się ustaliły pomiędzy Rosją a Niemcami, są oparte nie na przypadkowych kombinacjach o charakterze przejściowym, lecz na podstawowych interesach państwowych obu krajów—Niemiec i Rosji!" —Jednocześnie wspominał o licznych wrogich aktach ze strony W. Brytanii w stosunku do Rosji, w skutek czego trudno jest—jego zdaniem—oczekiwać pomyślnego rozwoju stosunków angielsko-rosyjskich.

Nie wierzymy, by obecne porozumienie Niemiec i Rosji miało szybko pęknąć. Zbyt wiele jeszcze usług mogą sobie wzajemnie wyświadczyć, zanim rozgrabią wszystko, co im okazja, wywołana przez dotychczasowe zwycięstwa niemieckie, kusząco podsuwa. Zbyt mocno łączy ich strach przed ostatecznym zwycięstwem demokracji, chrześcijaństwa i stworzonej przez obydwie te siły kultury. Ale nie można wykluczać ewentualności, że Niemcy i Rosja pokłócą się o podział wpływów lub terytoriów. Wygląda w tej chwili tak, jak gdyby w tej spółce Hitler był słabszy, póki prowadzi wojnę na zachodzie i musi jej poświęcać wszystkie siły Niemiec, wszystkie środki, jakimi rozporządza dzięki osiągniętych zdobyciom. Stalin tę sytuację w sposób oczywisty wykorzystuje. Gdyby wojna na zachodzie miała się zakończyć nie zupełnym zniszczeniem Niemiec, zwróciłby się one z kolei przeciwko Rosji, by z niej uczynić wielką kolonię. W razie zaś pokonania Niemiec, co według wszelkiego prawdopodobieństwa zostanie osiągnięte, Rosja znajdzie się w tak wielkiej gospodarczej, a w pewnym stopniu i politycznej zależności od państw zwycięskich i od nowowytworzonego układu sił, że będzie bardziej skłonna do radykalnych ustępstw ze zdobycy u swych zachodnich granic.

W świetle pochodu Rosji na zachód, rozpoczętego z chwilą osiągnięcia przez Niemcy zdecydowanej przewagi militarnej nad Polską, ukazuje się w pełnym świetle ta prawda polityczna, stała przez Polskę głoszona, że niepodległość państw nadbałtyckich jest do utrzymania tylko przy istnieniu silnej Polski i tylko w oparciu o Polskę. Ta sama prawda polityczna stosuje się także do Rumunii, która już padła ofiarą Rosji a będzie jeszcze musiała ponieść wielkie ofiary na rzecz Węgier i Bułgarii, służących interesom Niemiec, a może w ogóle utraci niepodległość, jeżeli Rosja nie poprzestanie na Bessarabii i Bukowinie. Upadek Polski odbił się wreszcie na losie dalekiej Finlandii; napaść rosyjska nie była do pomyślenia, póki Polska trwała.

Polska, w swych granicach co najmniej dotychczasowych, a jeszcze lepiej w granicach, obejmujących wszystkie jej ziemie zachodnie i północne jest niezbędna dla politycznego zdrowia Europy nie tylko jako gwarantka niepodległości mniejszych narodów, zamieszkujących środkowo-wschodnią Europę, ale—i to przede wszystkim—jako jeden z najbardziej na wschód wysuniętych, historycznie najstarszych i kulturalnie najbardziej zwartych bastionów kultury chrześcijańsko-łacińskiej i zachodnio-europejskiej.

Bez silnej Polski nie będzie nowej, lepszej Europy, bez silnej Polski hitlerizm i bolszewizm, albo jeden z tych ciemnych światów zaleją i zniszczą cywilizację europejską.

WINCENTY KORFANTY

Dnia 17 b.m. obchodzono uroczyste w Londynie pierwszą rocznicę zgonu ś.p. Wojciecha Korfantego. W kościele polskim odbyło się nabożeństwo żałobne w obecności Wodza Naczelnego i przedstawicieli Rządu; "Dziennik Polski" wydał specjalny dodatek p.t. "Polonia" (nawiązując do "Polonii" katowickiej, organu, który Korfanty do życia powołał i prowadził dla obrony swoich idei). W dodatku tym znalazły się artykuły i wspomnienia, podpisane najgłośniejszymi w dzisiejszej emigracji nazwiskami. Z wszystkich promieniowała cześć dla Zmarłego i uznanie dla wiekopomych jego zasług.

Istotnie: Wojciech Korfanty był czołowym przedstawicielem tych, którym Polska zawdzięczała powrót Górnego Śląska, reprezentował ją nieugięcie wobec Niemców i walczył o nią nieustraszenie.

Syn prostego górnika, miał przechowaną w tradycji swej rodzinnej i w swoim poczuciu świadomość narodową, tkwiącą w ludzie śląskim, jak diament w bryle węgla. Wybitne zdolności pozwoliły Korfantemu zdobyć wykształcenie średnie i wyższe, prawnicze; umiał jednak utrzymać się przed pokusami wróżących łatwą karierę życiową, gdyby się zmienił, gdyby zechciał uważać się chociaż za "Oberschlesier" /Górnoślązaka/, nie za Polaka. Tymczasem młody adwokat śmiało wystąpił w walce politycznej, jako Polak, wystąpił—i zwyciężył. Zwyciężył ku zdumieniu Niemców, ku niematemu zdziwieniu nawet centrum katolickiego. Polak Korfanty—postem z Górnego Śląska do Parlamentu Rzeczy! Była to

rewelacja również i dla znacznej części społeczeństwa polskiego, nieśmiało tylko marzącego o odzyskaniu prastarej dzielnicy piastowskiej.

Cóż dopiero, gdy młody poseł stał się jednym z najteższych i najwymowniejszych przedstawicieli Koła Polskiego w Berlinie! Rzucił Niemcom w twarz oskarżenia, rozchodzące się echem po świecie. Pamiętne są jego mowy przed wojną światową, gdy protestował przeciw uciskowi narodowemu i społecznemu na Śląsku, przeciw wyłączeniu w Poznańskim i polityce szkolnej niemieckiej. Historycznymi stały się oświadczenia w ostatnich tygodniach przed klęską Niemiec i zawieszeniem broni. Był nieugięty, kategoryczny, odważny.

Tak samo zachował się w ciężkiej dobie powstań śląskich. Imię Korfantego było sztandarem dla walczących i poprowadziło ich do zwycięstwa. Nie jego i nie ich wina, że zwycięstwa tego nie wyzyskano całkowicie.

Po złączeniu wschodniej części Śląska z macierzą, Korfanty nie przerwał pracy politycznej. W Sejmie Rzeczypospolitej był czołowym kierownikiem stronnictwa chrześcijańsko—demokratycznego. Niezależny w poglądach, energiczny i zdecydowany, miał oddanych zwolenników i nieprzejednanych wrogów. To też, gdy po zamachu majowym przyszedł smutny moment uwięzienia grona postów w Brześciu, Korfanty znalazł się między ofiarami.

Obchodzenie się z nim w kaźni brzeskiej złamało jego zdrowie. Przyłoczyły się do tego ciężkie troski moralne. Korfantego

ośmielono się oskarżyć, jak oskarżono ś.p. gen. Tadeusza Rozwadowskiego i gen. Kulińskiego; skazano go, jak skazano Wincen- tego Witosa i wielu innych. Musiał emigrować. Robiono, co można było, by zdyskredytować go przede wszystkim na rodzimym Śląsku. Zaprzepaszczone olbrzymi kapitał ufności, jaką Śląsk miał dla Korfantego, i doczekano się wreszcie jego śmierci.

Jednakże pogrzeb jego przed rokiem w Katowicach był wielkim pośmiertnym tryumfem wielkiego patrioty. Przez ulice miasta defilował cały Śląsk: delegacje w barwnych strojach miejscowych, górnicy w uroczystym ubiorze, sokoli i powstańcy. Za trumną postępowali, obok rodziny, przedstawiciele całej niezależnej duchem Polski. W topocie sztandarów biało-czerwonych, narodowych, i biało-błękitnych flag śląskich jednoczył się naród u trumny czołowika, który powrót swej rodzinnej ziemi do ojczyzny przygotował.

Brakło tylko na pogrzebie tych, co Wojciechowi Korfantemu byli urogami, oszczercami i katami. Tych, co duchem nie ogarnęli wielkiego misterium zjednoczenia, a głową do niego nie dorosli. Brakło ich—ale nikt się nie dziwił i nie odczuwał ich braku.

W dwa tygodnie potem rozpoczął się zalew germański. Ale grób Wojciecha Korfantego stoi na straży polskości Śląska. I gdyby nawet okupant targnął się na catość mogiły, nie zabije ducha, który ongi Korfanty wskrzesił i do życia pobudził.

Antoni Bogustawski

Zygmunt Nagórski

Gospodarstwo światowe w pierwszym roku wojny

Chciałbym przedstawić czytelnikom "Polski Walczącej" choćby w najogólniejszym szkicu, ważniejsze zmiany, jakie nastąpiły w gospodarstwie światowym w czasie pierwszego roku wojny.

To, co uderza może najwięcej, to zniknięcie małych obszarów gospodarowania i powstawanie na ich miejscu wielkich przestrzeni, tego, co Niemcy nazywają "Grossraumwirtschaft." W Europie proces ten dokonał się już na ogromną skalę, choć nie wiemy jeszcze, jakim dalszym przeobrażeniem proces ten ulegnie.

W Europie kontynentalnej—poza małymi wyjątkami, do których należą Hiszpania, Szwecja i Portugalia—mamy do czynienia z ogromnym obszarem gospodarki niemieckiej, a raczej włosko-niemieckiej.

Poza tym blokiem rozszerzył swoją przestrzeń blok sowiecki, drugi najbardziej dynamiczny—obok niemieckiego—blok europejsko-azjatycki.

Blok brytyjski, który powiększył swą przestrzeń o obszary kolonialne Danii, Belgii i Holandii wykazuje postępującą zwartość i co raz ściślejszą współpracę gospodarczą.

Powiększył się również blok chińsko-japoński, który na terenie Azji wykazuje wzrastającą siłę.

Wreszcie, co jest może najcharakterystyczniejsze—silnie posunął się na przód proces powstania bloku ogólno-amerykańskiego pod wodzą Stanów Zjednoczonych, któremu stosunkowo najsilniej przeciwstawia się z północnej Ameryki łańcuch Argentyna. Zaburzenia wojenne w Europie, rosnące nadwyżki towarów przeznaczonych na wywóz w krajach Ameryki Południowej, których nie ma komu sprzedawać, ogromnie przyspieszyły proces gospodarczego łączenia się państw obydwu Ameryk, północnej i południowej, zdanych na siebie w co raz wyższym stopniu. Zużytkowuje to świadomie celowa polityka prez. Roosevelta, która drogą specjalnych planów rynkowego wchłonięcia nadwyżek eksportowych krajów Ameryki południowej i pomocy gospodarczej na ich rzecz—stara się proces ten przyspieszyć i scementować.

W tej chwili więc ukształtowało się pięć wielkich bloków, które podzieliły między siebie kulę ziemską. Czy liczba tych bloków jest ostateczna, czy nie ulegnie ona zwiększeniu, czy też przeciwnie—za czym wiele przemawia—ulegnie zmniejszeniu, trudno dziś prorokować.

Współpraca gospodarcza tych bloków jest bardzo ograniczona, można by powiedzieć, z małymi wyjątkami, wcale nie istnieje.

Całkowicie odsobniony, bo objęty blokadą jest obszar niemiecko-włoski.

Blok sowiecki ma minimalne związki z innymi obszarami.

Blok japoński również bardzo znacznie ograniczył swe kontakty z innymi obszarami.

Największą powierzchnię współpracy wykazują obydwie bloki anglosaskie, które zresztą są sobą ściśle współdziałają. Obydwie te bloki starają się zastąpić ogromne rynki zbytu i źródła surowców, które odpadły na terenie kontynentalno-europejskim przez pielegnowanie wzajemnego handlu.

Oto jedna grupa zmian ustrojowych, których istota zasadza się na powstaniu kilku nielicznych wielkich obszarów gospodarowania i ogromnym rozluźnieniu związków pomiędzy nimi. Powstały tak wielkie obszary gospodarcze, że samowystarczalność przestała już być ułudą. Oczywiście najmniej samowystarczalny jest obszar włosko-niemiecki, któremu brak wielu podstawowych surowców, jak oleje mineralne, surowce włókiennicze, metale kolorowe, a nade wszystko środki żywności. Europa kontynentalna bez Rosji Sowieckiej sprwadzała w normalnych latach około 3,5 milionów ton pszenicy, około 1,4 milionów ton jęczmienia, owsa i ryżu, i około 4,4 milionów ton kukurydzy. Oczywiście dziś zapotrzebowanie środków żywności na tym terenie musi być daleko większe. Blok kontynentalny niemiecko-włoski jest pod względem żywnościowym i surowcowym najsłabiej zaopatrzony, najmniej samowystarczalny.

Zasadniczo jednak powsta-

wanie wielkich obszarów gospodarczych idzie w parze z procesem zamykania się, gospodarczego odgradzania się tych bloków. Gdyby więc te czy inne, ale nieliczne bloki gospodarcze utrzymały się, wymiana zagraniczna znacznie straciłaby na znaczeniu, a razem z nią na znaczeniu straciłoby i złoto, jako główny instrument tej wymiany.

Z tym procesem idzie w parze proces zamierania wolnej gospodarki. Wolna gospodarka była gospodarką licznych, małych i średnich państw. W erze gospodarki liberalnej każde państwo, małe czy duże korzystało z równych praw ekonomicznych, miało równy dostęp do rynku światowego. Obecnie względnie wolna gospodarka istnieje jeszcze tylko na kontynencie amerykańskim. Ale i tam, w związku z wielkimi przeobrażeniami ustrojowymi, w związku z gigantycznym programem dozbrojenia i trudnościami, wynikającymi z odpadnięcia rynków europejskich, dokonuje się ten sam proces wydrążania podstaw gospodarki wolnej i przejścia do form gospodarki związanej, mniej lub więcej uzależnionej od państwa.

Blok brytyjski co raz więcej i co raz silniej wchodzi na tory gospodarki wojennej, która jest gospodarką mającą na celu nie jednostkowe wzbogacenie ale interes zbiorowy. Dość powiedzieć, że już dziś wedle projektów podatkowych przedłożonych przez rząd angielski parlamentowi *podatek płacić będzie 18 sh. z każdego funta przy dochodzie rocz-*

nym 20.000 funtów, czyli płacić będzie 90% dochodu. Przy dochodzie rocznym 10.000£ podatnikowi pozostanie tylko 3.873£. Już to daje miarę nowego nastawienia, zmiany umysłowości gospodarczej Anglików.

To samo można stwierdzić w innych blokach gospodarczych w jeszcze wyższym stopniu. Stopień tego określić można, idąc kolejno od Sowieców, poprzez Niemcy, do Japonii.

Nie będziemy dalecy od prawdy, gdy powiemy, że świat przeżywa w tej chwili największy w dziejach nowożytnych przewrót ustrojowy, którego wielkość i rozmach nie da się porównać z żadnym z dotychczasowych przewrótów. Jest to głęboki przewrót zarówno w sposobach gospodarowania, jak i w związkach organizacyjnych i technice tego gospodarowania, wreszcie—co najważniejsze—w psychologii gospodarczej, w umysłowości i uzasadnieniu, które leżą u podstaw wszelkiego gospodarowania.

A zmiany w tym zakresie wydają się być nie tylko chwilowe, ale i trwałe, jedynie w niewielkim stopniu zależne od wyników wojenskich tej wojny. I po zwycięstwie aliantów, w które wszyscy wierzymy, wiele rzeczy w zakresie ustrojowo-gospodarczym nie da się już odrobić.

W zakresie walutowym widzimy proces obumierania walut wolnych, opartych na złocie. Liczba walut notowanych w

cedulach giełdowych Stanów Zjednoczonych ogromnie spada, natomiast wzrosła liczba walut lokalnych, posiadających znaczenie tylko miejscowego znaku obiegowego. Cała grupa szlachetnych walut, jak francuska, belgijska, holenderska, duńska, norweska, nabrała charakteru lokalnego. Grupa walut szterlingowych objęta jest ciągle zaostrzającymi się ograniczeniami dewizowymi. Do niedawna jeszcze wolny rynek notowań funtowych w Nowym Jorku został wyłączony na zasadzie porozumienia angielsko-amerykańskiego, a notowaniu podlega tylko oficjalny kurs funta.

Złoto co raz większym strumieniem płynie do Stanów Zjednoczonych, które posiadają już dziś w swych skarbcach około 80% światowego zapasu kruszcowego. Nabywanie pozostałych 20% przez Stany Zjednoczone jest już tylko sprawą czasu. Jeśli wojna potrwa dłuższy czas, Stany Zjednoczone niewątpliwie znajdą się w posiadaniu całego światowego zapasu złota. Wówczas też sprawa waluty złotej dla Europy, względnie i innych kontynentów, przestanie istnieć. Funkcjonowanie waluty złotej można było przyrównać do międzynarodowej gry państw—partnerów—z których każdy zaopatrzony był w żetony, jeden w większej, drugi w mniejszej mierze, stosownie do jego siły kapitalowej, wytwórczej i handlowej. Z chwilą, gdy wszystkie te żetony znajdą się w rękach jednego tylko partnera—Ameryki—a partner na kredyt

grać nie chce podstawa gry odpada.

Nie należy przypuszczać, że wygrany znajdzie się w sytuacji uprzywilejowanej, godnej zazdrości. Sprawa złota będzie dla Stanów Zjednoczonych niesłychanie ciężka i trudna. I ona też zmusi je do czynnego zajęcia się zagadnieniami odbudowy gospodarczej Europy po wojnie. Można by powiedzieć, że te ogromne masy kruszców złoto, jakie do Stanów w czasie wojny napływają, traktowane być muszą przez Stany, siłą rzeczy, jako *europejski depozyt w Ameryce*. I ten depozyt Stany Zjednoczone przedzej czy później w ich własnym interesie będą musiały Europie zwrócić. Będą musiały one podjąć się wielkiego wysiłku odbudowy gospodarczej Europy na nowych podstawach, które—miejmy nadzieję—łączyć będą zasadę sprawiedliwości społecznej z zasadą wolności.

Obraz, jaki przedstawia dziś gospodarstwo światowe, jest obrazem niespotykanym w dziejach Europy nowożytnej. Gospodarstwo "międzynarodowe" uległo likwidacji, a na jego miejsce pojawiło się gospodarstwo "blokowe." Gospodarstwo to jednak wykazuje wszystkie cechy przejściowości, tymczasowości.

To, co możemy o nim powiedzieć, to tylko to, że odzwierciedla dążności pewnego rozwoju, ale proces sam jest silnie dynamiczny—i daleki jeszcze od ukończenia.

Ferdinand Zweig

Dyktatury i ich następstwa

"Dzisiejsza Europa—jest jak droga stojąca otworem dla wszelkiego rodzaju samowładców. Czy na prawdę można liczyć na na głęboką mądrość życiową wielkich współczesnych, czy na prawdę można twierdzić, że pozostaną oni niewzruszeni na krzyk rozentuzjowanych tłumów, na szcęk broni, na odblask pierwszych pożarów? Bardzo wątpliwe. Nawet święci z trudem oparliby się takiemu zawrotowi głowy. Jeżeli lud, który potrafi zachować dzisiaj zimną krew, nie przeciwstawia się zgodnie rozpalonym do białości ambicjom poszczególnych jednostek—to świat może przejść jeszcze raz wszystkie katusze piekła."

Tak pisał w początkach roku 1938 Jerzy Duhamel, wybitny członek Akademii Francuskiej. Obawy autora "Spowiedzi o północy" okazały się, niestety, słuszne. Społeczeństwa europejskie i Stany Zjednoczone nie potrafiły ani zgodzić, ani na czas przeciwstawić się ludziom, którzy zaślepieni ogromem swej władzy podpalił świat. I Duhamel nawet w najbardziej czarnych przewidywaniach nie zdołał odtworzyć tych "katusze piekła," jakie współczesne dyktatury sprowadziły na świat.

Zagadnienie przerostu władzy było dyskutowane na długo przed wojną. Umysły, które potrafiły zdobyć się na obiektywną krytykę i którym dorywcze sukcesy nowoczesnych samowładców nie przesłaniały szerszych horyzontów—zdawały sobie sprawę zarówno z blasków, jak i nędzy wielkich dyktatur. I zarówno cytowany Duhamel, jak i wielu wybitnych mężów stanu także wśród naszego społeczeństwa—przewidywało wprawdzie katastrofę wywołaną przerażającą krótkowzrocznością polityki europejskiej, ale byli oni również przekonani, że władza poszczególnych samowładców, chociażby doszła do szczytowych punktów rozwoju nie okaże się jednak trwałą.

Sąd ten potwierdza doświadczenie historii. Jest rzeczą charakterystyczną, że dyktatury, skoro przechodzą do akcji najbardziej czynnej, wojennej—*mogą osiągnąć zawrotne sukcesy, ale trwają krótko.*

Wielka dyktatura czy, jak kto woli, "wielka awantura" Juliusza Cezara zaczyna się w styczniu 49 roku przed Narodzeniem Chrystusa. Jest to owo sławne przejście przez Rubikon. Kończy się 15 marca 44 roku zabójstwem Cezara przez Brutusa. W ciągu pięciu lat przemierzył Cezar cały

ówczesny świat. Stał się panem Italii oraz Hiszpanii. Lajal ujęcie Rodanu, Marsylię. Walczył w Epirze i Tessalii, zmiądzzył swego wroga Pompejusza, prowadził kampanię w Egipcie i Afryce Północnej, rządził Rzymem. Ginie, zostawiając po sobie gruzy dawnego ustroju rzymskiego—i wojnę domową. Nowy ustrój, cezaryzm, nosił od samego początku zarodki upadku ogromnego państwa.

Aleksander Macedoński miał 22 lata, kiedy przekroczył Hellespont i rzucił swoją armię na zdobycie Azji. Umiera w wieku 33 lat. *Zdobyl olbrzymie terytoria, podbil dwadzieścia ludów, zniszczył kilkadziesiąt miast, stworzył królestwa, budował drogi, mieszał rasy, zmieniał obyczaje.* Ogromna jego awantura trwała 11 lat. Aleksander pozostawił po sobie olbrzymie państwo, które bezpośrednio po jego śmierci wydane zostało na łup skłóconych ze sobą spadkobierców.

W maju 1804 roku Napoleon Bonaparte ogłosił się cesarzem Francuzów. Pierwsze niepowodzenie przychodzi w roku 1812. Ostateczna klęska—w bitwie pod Waterloo 18 lipca 1815. Napoleon pokonał całą Europę z wyjątkiem Anglii. Swoich najbardziej zawziętych wrogów, jak np. Austrię i Prusy zmuszał nie tylko do zawierania bardzo ciężkich traktatów pokojowych, *ale nawet do brania czynnego udziału w walce po swojej stronie.* Z okresu wojen napoleońskich wyszła Francja strasznie osłabiona. Od tego czasu zaczyna się spadek urodzin w państwie, dotychczas najsilniej zaludnionym w Europie.

Trudno porównywać dzieje Atyli z losami trzech wielkich zdobywców, cytowanych poprzednio, nie mniej jednak są one ciekawe. Ograniczają się do ośmiu lat. Od roku 445, kiedy barbarzyński wódz zabił własnego brata, aby zdobyć nieograniczoną niczym władzę aż do 453, kiedy umiera wielki najeźdźca.

Zastanawiająca jest rola wielkich dyktatorów w historii. Nie ulega wątpliwości że oddali oni pewne usługi ogólnej kulturze, zwłaszcza w dziedzinie organizacyjnej. Ulepszyli kodeksy prawne, niektórzy zasłynęli, jako opiekunowie sztuk i nauk. Prawo równowagi wywarło i tutaj swój wielki wpływ. Dzieje tych okresów były do tego stopnia wypełnione akcją w najrozmaitszych kierunkach, że można w nich odszukać również i pewne, nawet nieprzeciętne wartości stałe. Ale stosunkowo krótki

okres wszechwładzy tych dyktatorów kończył się zawsze strasznym rozstrojem państwowym, pozostawiając po sobie wspomnienia krwawych wojen, nieszczęśliwych zbrodni.

"Co jest szczególnie przykre dla bezstronnej historyki—pisze Dunamel—to to niemal fatalne przeistoczenie dawnego bohatera w tyrana." Raymond Burgard napisał wspaniałą historię Aleksandra Macedońskiego, w której opowiada dzieje podboju Azji. Z dziwnym uczuciem śledzimy co raz to szybszy upadek moralny młodego wodza. Aleksander jest niewątpliwie w zaraniu swego królowania przykładem odwagi, siły charakteru i woli. Staje się bardzo szybko ofiarą swoich własnych sukcesów. Przyjmując obyczaje tych, których zwalczał. Wyniszcza się w rozpucie. Między dwoma okresami wybuchów energii pograża się w bierności i miękkości życia azjatyckiego. Staje się niesłychanie podejrziwy, wszędzie widzi spiski na swoje życie, wszędzie widzi przeciwników swej władzy. Usuwa dawnych, najbardziej wypróbowanych przyjaciół. Wielu z tych ludzi, którzy pomogli mu do osiągnięcia władzy ginie w więzieniu, inni zostają poddani strasznym torturom i skazani na śmierć. Od czasu do czasu ma jakies bardziej ludzkie przebliski, opowiada o wielkich planach uszczęśliwienia swych poddanych—potem znów powraca do dawnej obawy przed najbliższym otoczeniem. W ogóle młody monarcha nie znosi najmniejszego sprzeciwu, nie dopuszcza najmniejszej krytyki. I ginie, zabijany przez własną pychę.

Cezar jest również człowiekiem tak samo zepsutym, tak samo okrutnym, tak samo nieznosnym. Uważano go za najinteligentniejszego z pomiędzy współczesnych. Niestety! Do czego służy mu ta inteligencja? Z zimną krwią wydaje rozkaz przeprowadzenia masakry 50.000 żołnierzy Pompejusza. Czy jest to czyn godny naprawdę wielkiego człowieka? Z pewnością nie. Ale w tym właśnie leży tragedia dyktatora. Cezar nie ma wyboru. Nie wolno mu się cofać. I zachowuje się, jak dziki zwierzę.

Wszyscy dyktatorzy stają się przedzej czy później niewolnikami tych potężnych, lecz ślepych sił, jakie sami wyzwolili. Skazani są na ciągłe zwycięstwa, na ciągłe, co raz to większe sukcesy. A do niczego nie jest tak łatwo przystąpić społeczeństwu, jak właśnie do ciągłych sukcesów. Lecz biada, skoro przyjdzie pierwsze

niepowodzenie, pierwsze załamanie! Cały, tak mozolnie wzniesiony gmach wali się wtedy, jak domek z kart. Klęska pod Waterloo, pierwsza naprawdę przegrana bitwa Napoleona I—nie była bynajmniej katastrofą armii francuskiej. Poprzedziły ją zresztą dwa zwycięstwa, a bardzo poważne siły wojskowe w Paryżu były nietknięte. Napoleon mógł doskonale bronić się nad Marną, nawet nad Sekwaną. Jednakowoż przyzwyczajone do ustawicznych zwycięstw społeczeństwo—nie mogło po prostu nerwowo wytrzymać jednej klęski. Ten sam Paryż, który przed kilkoma tygodniami szalał na widok powracającego z Elby Cesarza—wyparł się go. Francja pozostała głucha na wszystkie zaklęcia i wszystkie, najbardziej przekonujące argumenty.

Dyktatury są może bardzo efektywnym sposobem rządzenia, ale na te zawrotne często sukcesy składają się czynniki nie trwałe i bardzo dla dalszego rozwoju danych narodów groźne. Wiedzą o tym prawdziwie wielcy mężowie stanu—i dlatego wystrzegają się rządów, w których jedynym regulatorem społecznym byłby bat.

Wodzowie i władcy, których imiona zostały w trwałej i wdzięcznej pamięci pokoleń—nie niszczyli wolności słowa i wolności myśli. Nie dążyli do wszechwładzy, przeciwnie liczyli się z głosem społeczeństwa. I stwarzali rzeczy wielkie i trwałe, zyskując uznanie tudzież szacunek nawet u przeciwników. Siłą prawdziwie twórczą jest miłość ludzi i taka organizacja życia społecznego, która oprze się na możliwie najszerzej podstawie dobrowolnej współpracy całego narodu. Natomiast przemoc, nienawiść i strach są to siły wprawdzie bardzo potężne, ale działalność ich przejawia się w czynnikach burzących, niszczycielskich—i dlatego po największej części ujemnych. *Poza ich zwycięstwem czai się pustka śmierci.* I w świetle zarówno dawnych jak i współczesnych dziejów, nabierają znaczenia ogromnej prawdy słowa, że "siła, oparta na nienawiści, może swą potęgą przerazić i zadziwić świat, ale nie trwałego zbudować nie jest w stanie." Natomiast czynnikiem na prawdę dodatnim są tylko pojęcia ogólnie ludzkie, a przede wszystkim litosć i miłosierdzie, które nie jest czymś przez Boga stworzonym, lecz jest samą Prawdą i samym Bogiem.

Tadeusz Kiełpiński

ROYAL NAVY

Przybyliśmy do gościnnych brzegów kraju, którego geograficzne położenie skazało jego mieszkańców od stuleci na poznanie morza, jako czynnika ogromnej wartości dla ich życia i rozwoju ich państwa. Tylko przez morze mogli mieszkańcy wysp wielko-brytyjskich nawiązać porozumienie z innymi narodami, — tedy tylko mogła iść wymiana handlowa i kulturalna. Tylko przez morze mogli dostać się na wyspy przyjacieli i wróg — tylko przez morze mogli mieszkańcy wysp sięgać po bogactwa zamorskich terytoriów, po obce lądy, archipelagi i kontynenty całe, brąc je w swe władanie i opiekę. Imperium dzisiejsze, władające połową kontynentów świata, mogło powstać przez wytyżony, wielowiekowy wysiłek tego narodu, który najbardziej poznał, czym jest morze i umiał je wykorzystywać. Narodu żeglarzy, którzy śmiało, mimo ofiar i trudów szli odkrywać nowe lądy, szli w celach handlu, w celach przysporzenia sławy i potęgi własnej, wyspiarskiej ojczyzny.

Ich wysiłki spotykały się zawsze z pełnym poparciem panujących i rządów. Za wysiłkiem jednostek, czy pewnych zgrupowań ludzi, szedł nieprzerwanie przez wieki wysiłek sfer kierujących państwem. Osiągnięte dalekie lądy i szlaki komunikacyjne na morzach zwalczać musiały obcą konkurencję, musiały być broniące siłą. Te siły dawało państwo. Była nią od wieków i jest obecnie królewska marynarka wojenna, w której służba jest dla każdego Anglika wielkim zaszczytem.

Royal Navy — w skrócie: R.N. była tą dźwignią, która niezwłocznie brała w opiekę zdobycze Anglików na morzach, która zapewniała ich bezpieczeństwo i bezpieczeństwo ich morskich dokonań. Poprzez kataklizmy wojen, poprzez burze walk R.N. zapewniła swemu krajowi to imperium światowe, które trwa dotąd po wszystkich kontynentach i morzach.

I już nieraz w ciągu wieków wyspiarskie królestwo, któremu według obrachunku przeciwników groziła inwazja, zostało obronione przez flotę, potęgą wroga jeśli nie od razu zniszczona, to tak podcięta, że rozpoczynała agonię już bez powrotu myśli o ponownej inwazji na wyspy brytyjskie.

Przy końcu XVI-go wieku, Anglia była jeszcze biednym krajem rolniczym, jej flota wojenna składała się z kaprów a jej żegluga jeszcze była przytłoczona ogromem potęgi ówczesnej "pani mórz", "pani świata", habsburskiej Hiszpanii, czerpiącej pełną garścią bogactwa przed niecałym wiekiem odkrytej Ameryki. Król Filip II. po ujarzmieniu Niderlandów postanowił raz na zawsze rozprawić się z angielską przeszkodą dla jego żeglugi, co raz to bardziej rosnącą na siłach i mogącą nie długo być konkurentem do szlaków morskich i Nowego Świata.

Nad brzegami dzisiejszej Flandrii zbierał książe Alba wojsko, które po nadejściu floty hiszpańskiej miało przepłynąć się do Anglii i zająć ją. Admirał Medina de Sidonia z olbrzymią, pełną najlepszych tradycji niedawnego zwycięstwa nad Turkami "niezwyciężoną Armadą" wyrpował się z portów Hiszpanii ku brzegom dzisiejszej Belgii. Pogoda nie sprzyjała a ponadto "Armadę" zaczęły szarpać z boków i z tyłu okręty angielskie pod wodzą szeregu kaprów-admirałów, z których głównym admirałem królowej Elżbiety był Drake.

Flota angielska była ilościowo znacznie słabsza od "Armany" hiszpańskiej, jej okręty były mniejsze, ale zwinniejsze i w przeciwieństwie do dawnych metod walki i uzbrojenia okrętów hiszpańskich, zastosowały nowy jej sposób, mianowicie walkę artylerią burtową, podczas gdy Hiszpanie byli uzbrojeni na dziobach i rufach. Ale nade wszystko Anglicy byli bardzo doświadczonymi i śmiałymi żeglarzami.

"Niezwyciężona Armada" z wielkimi stratami od Anglików dotarła do Flandrii, gdzie okazało się, że w obliczu nieprzyjaciela musi czekać na zbierające się dopiero wojsko, "przeznaczone do inwazji na Anglię. Postój olbrzymiej floty na niezabezpieczonej redzie został wykorzystany przez Anglików do nocnego

napadu, ukoronowanego olbrzymim sukcesem. Hiszpanie, ci którzy zdolali poprzecinać łańcuchy kotwiczne, podnieśli żagle i wśród ciemnej nocy próbowali wymknąć się z matni. Armada się rozproszyła, Anglikom pomogły silne sztormy. Niedobitki powróciły dookoła wysp brytyjskich do portów Hiszpanii.

Współcześni, a nawet Filip II. nie zdawali sobie sprawy, że nieudała wyprawa, olbrzymie straty w flocie to początek zmierzchu potęgi morskiej Hiszpanii.

W drągiej połowie XVII-ego wieku stają naprzeciw siebie do walki o pierwszeństwo na morzach: Anglia i Holandia.

Mały, niedawno wyzwolony kraina, wydzierający swą ziemię morzu, tak przez walki z tym żywiołem się zaprawił, że poznał przede wszystkim, iż żywioł ten, gdy go opanuje ludzka wola, umiejętność i praca — staje się nie wrogiem, lecz źródłem dobrobytu i potęgi. W tych czasach trzy czwarte ludności holenderskiej żyło z morza. Żeglarze holenderscy odkrywali i zdobywali dla Holandii nowe lądy a

handel zamorski wydarł szlaki morskie upadającej Hiszpanii. Silna flota wojenna dowodzona przez znakomitych admirałów tworzyła silną konkurencję dla Anglii od Bałtyku aż po Indie i Nowy Świat.

Zmaganie Holendrów z Anglikami rozegrało się w trzech, po mniej więcej dwa lata trwających wojnach. Początki były ciężkie dla Anglików, raz nawet Londyn był bombardowany przez flotę holenderską, która wdarła się Tamizą w jego pobliże. Rozgrywka skończyła się jednak całkowitym zwycięstwem Anglików.

Prymat morski był w ich ręku. Przyszło z kolei do zmagania z konkurencją Francji Ludwików, rewolucji i Napoleona. Wojny o prymat morski i posiadłości zamorskie trwały z przerwami prawie 200 lat.

W r. 1805 "Bóg wojny" uważając, że głównym jego wrogiem jest Anglia, chciał ją najechać i zająć. Na morzu panowała jednak flota angielska. Flota francuska zdezorganizowana materialnie i moralnie przez Wielką Rewolucję, powoli dźwigała się z upadku, ale

jako czuły organizm, raz popusta — nie mogła się mierzyć z flotą Anglii. Anglicy mieli już na kartach swej morskiej chwały drugocenne zwycięstwo z pod Aboukiru.

Napoleon, który dopiero na św. Helenie żałował, iż za mało uwagi zwrócił na odbudowę floty, uznając to za największy błąd życia, — postanowił działać podstępnie. Swym admirałom postawił za zadanie taki manewr, aby flota angielska znikła na 48 godzin z kanału La Manche. Wówczas on miał przeprowadzić przygotowanych specjalnie barkach wiosłowych i żaglowych z Boulogne do Anglii korpus ekspedycyjny w sile 150 tysięcy żołnierzy.

Podczas gdy w Boulogne następowo koncentracja tego wojska — flota francuska zjawiała się u południowego wylotu kanału. Flota angielska rozpoczęła pościg, który oczyścił kanał od Anglików, bo flota francuska ciągle przez Anglików ścigana pod silnym wiatrem manewrowała aż na drugą półkulę. Wzburzone morze i niegotowość korpusu uniemożliwiły jednak przeprawę

przez kanał. Gdy nareszcie ustaliła się pogoda, uciechy fale w La Manche — wraz z pogodą pojawiły się w nim eskadry okrętów angielskich, które po daremnym pościgu za flotą francuską powróciły na swoje wody. Admirał głównodowodzący flotą francuską w przekonaniu, że wykonał swoje zadanie, powrócił do Europy, chroniąc się do dobrze ufortyfikowanego portu hiszpańskiego Cadix.

Napoleon widząc niemożliwość wykonania najazdu na Anglię, postanowił bić sprzymierzonych na lądzie — pomaszerował z armią na Wschód.

Głównodowodzący flotą francuską i hiszpańską admirał Ville-neuve, bolejąc mocno nad nieudaniem się wielkiego planu inwazji, powziął zamiar zniszczenia floty angielskiej. Wypłynął z Cadixu no cele połączonej floty. Na wysokości przylądka Trafalgar natknął się w październiku 1805r. na flotę angielską, dowodzoną przez Nelsona i został pobity na głowę. Potęga morska Napoleona i Francji przestała istnieć. W późniejszych latach Napoleon próbuje jeszcze powalić Anglię przez blokadę lądową t. zw. system kontynentalny, ale i to wyników nie daje.

R.N. powalił "Boga Wojny," który mimo jeszcze kilku lat zwycięstw na lądzie już w 1805 roku po Trafalgarze odczuł, że gwiazda jego gaśnie.

W wojnie światowej 1914-1918r. mimo zwycięstw lądowych na wschodzie i zachodzie, mimo zagarnięcia przez armie Wilhelma olbrzymich połaci cudzych krajów, mimo upadku Rosji, klęsk zadawanych Włochom i szeregu innych niepowodzeń doznawanych przez Ententę — Royal Navy spełniła znów swe zadanie. Jak zawsze i tym razem w zwycięstwie sprzymierzonych jej udział był bodaj zasadniczy.

Obecnie tocząca się wojna, której dotychczasowy przebieg jest, niestety, jednym ciągiem sukcesów zych potęg — rozgrywała się na lądzie. W odmianie do dawnych wojen przybyło powietrze i straszliwa broń sypląca ogień i zniszczenie z nieba; ta potworna nowość naszego wieku, nie może wystarczyć do rozstrzygnięcia tam, gdzie wchodzi w grę taki czynnik, jak morze. Żeby zagarnąć kraj przeciwnika przedzielonego morzem, trzeba w myśl odwiecznej prawdy na tym morzu panować t. j. mieć na nim orężną przewagę. Potworna działalność lotnictwa, która jest w stanie obrócić w perzynę siola i miasta, zniszczyć wytwórnie i obiekty wojskowe na lądzie — nie wystarczy do opanowania i zajęcia kraju przeciwnika.

Stosowana blokada morska, ostatnio "zapięta" na ostatni guzik" przez rozszerzenie jej na kraje iberyjskie, działa i robi swoje. Sukcesy niemieckie polegające na zagarnięciu lwiej części Europy powodowały odprężenie blokady dla Niemiec, przez wchłanianie zapasów i możliwości wytwórczych zajętych krajów.

Bolesne straty, które po wielkiej części przez lotnictwo niemieckie ponoszą tak floty handlowe, jak i wojenne państw sprzymierzonych z Anglią, nie są takie, aby osłabiły potęgę morską Anglii. Floty wojennej, mogącej przyjąć decydującą bitwę z flotą angielską Niemcy razem z Włochami nie posiadają. A więc blokada skuteczna trwać będzie nadal a skutki jej będą dla Niemiec tym bolesniejsze im dłużej to będzie trwało.

Dlatego lansuje się groźbę inwazji na wyspy brytyjskie. Bliska przyszłość pokaże, czy są to próby zastraszenia, czy też realne zamierzenia.

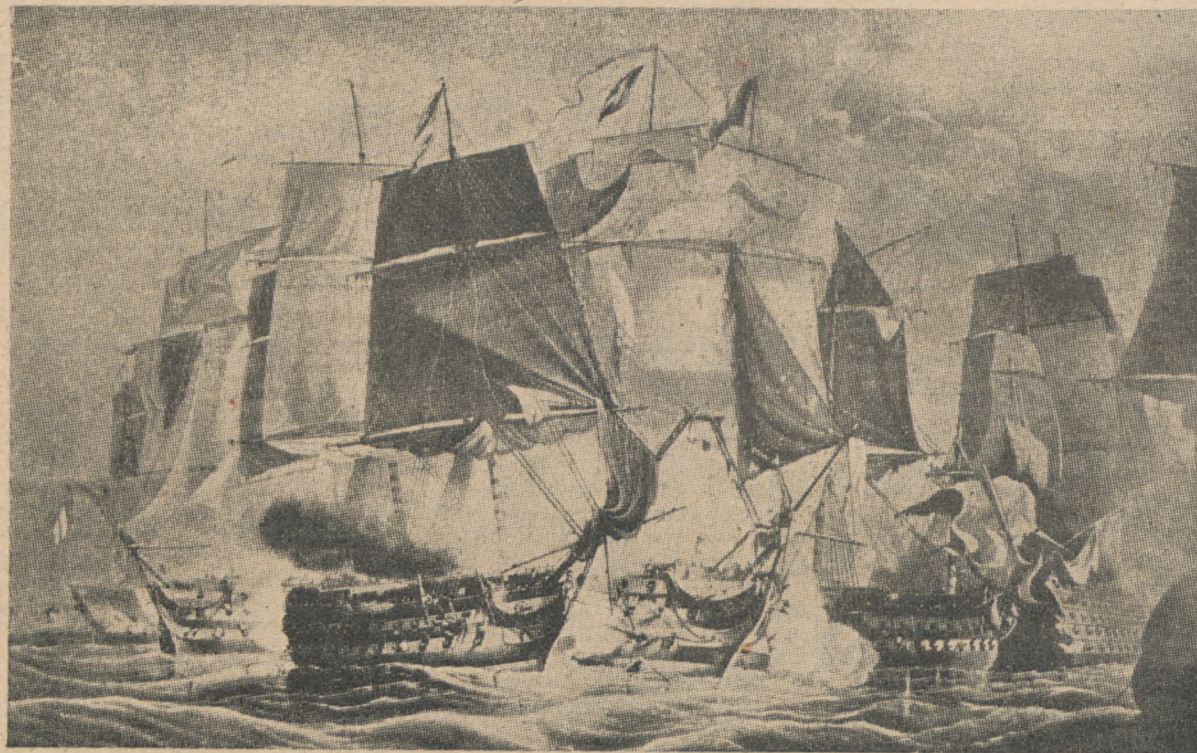
Pamiętajmy, że na lądzie tutejszych wysp stoi silne wojsko gotowe i przygotowane na wszelkie ewentualności — a nasze sztandary powiewają wspólnie z brytyjskimi w tej gotowości.

W powietrzu czuwa lotnictwo, w którego szeregu też znajdują się nasi lotnicy.

A przedziela nas od wroga morze, na którym panuje wspaniała jakościowo i potężna ilościowo Royal Navy a przy jej boku nasza niewielka lecz dzielna flota, która broni przeprawy choćby przez wąski pasek morza. I spełni swoją rolę, tak jak spełnia ją od wieków.

A może próba inwazji będzie tą upragnioną i oczekiwaną zmianą, na której wróg po raz pierwszy wyłamie sobie zęby!

K. Mora



Bitwa pod Trafalgarem

Anglia i Anglicy

R.A.F.

Zwycięstwa R.A.F. u są z dnia na dzień co raz wspanialsze. Zasluga ich w równej mierze spada na całą Wielką Brytanię. Do symbolu jedności i potęgi Imperium, jakim była marynarka wojenna dochodzi nowy symbol: lotnictwo.

Bo zwycięstwa te nie zostały osiągnięte jakimś specjalnym przygotowaniem, wygodzeniem i sfanatyzowaniem załóg, wyniszczeniem robotnika. Wręcz przeciwnie. Na zwycięstwo w powietrzu składają się trzy czynniki: pilot, konstrukcja samolotu i jego wykonanie. Niemcy — po to, aby te trzy czynniki doprowadzić do poziomu broni ofensywnej wyczyniali i wyczyniają od wielu lat różne ponure blaźństwa. Było tam i palenie książek na stosie i mit krwi i mit rasy i mit walki. Młode i zuchwałe bęwały z dumą przechwalały się przewagami odnoszonymi nad słabszymi i nieprzygotowanymi. Monotonny w swojej systematyce i na zimno obmyślonej groźbie film z bombardowania Polski ochrzczono piękną nazwą "Feuertaufen" — chrzest ognia, dumnie, po poganiu i po nordycku. No i skutki nie kazaly na siebie czekać. Jak nareszcie trzeba walczyć z równym sobie i lepszym przeciwnikiem to jakoś mit rasy zamienia się w klęskę w powietrzu.

Historia bowiem przedstawia się tak mniej więcej. W zamierzonej starożytności, gdzieś w okolicach roku 1937-go, kiedy po niemieckich grodach zakonnych oszalał 17-letni chłopiec Rosenbergiem i Streicherem, w przeróżnych kątach Imperium Brytyjskiego młodzi panowie zbierali się po swoich klubach w sobotę popołudniu i latali. Po prostu latali na swoich względnie klubowych awionetkach. Po dwie trzy godziny lotu na week-

end. "Luftwaffe" nie ukrywało pogardy. Bo ani panowie nie byli niczym nadzwyczajnym — jacyś tam urzędnicy bankowi i drobni inżynierzy — ani samoloty nie były czymś innym jak sportowymi awionetkami.

Lata szły i leniwie popijającym herbatę sobotnim asom przybywało godzin lotu. "Luftwaffe" bardzo śmiała się — tysiące młodych niepełnie ascetów proroka z Berchtesgaden ćwiczyło się bowiem w sztuce bojowego latania, jak Rzesza długa i szeroka. Głupi Anglicy urządzali bezmyślne rekordy, sportowe rekordy szybkości nikomu niepotrzebnych hydroplanów o puhar Schneidera wówczas, kiedy niemieckie fabryki lotnicze pracowały pełną parą nad wypełnieniem rządowych kontraktów. Zdegenerowany robotnik angielski pracował tylko określoną ilość godzin i to za określoną pensję. Co za bezmyślność. "Luftwaffe" była więcej, niż dobrej myśli.

Nagle coś się popsulo. Samoloty niemieckie setkami wała się u wybrzeży Anglii, do inwazji dochodzi, dochodzi i dojsć nie może. Czyżby rozpróznieni Anglicy robotnicy i "sobotnie asy" zmienili się? — I tu właśnie było to małe "ale," którego Niemcy nie wzięli pod uwagę. Anglicy a raczej "Imperiale" z Dominów i Metropoli nie zmienili się ani na jotę i dlatego właśnie biją Niemców. Kiedy bowiem za Renem i na półwyspie Apenińskim przerabiano masło na armaty Imperium Brytyjskie dużo i dobrze jadło i dużo odpoczywało. Kiedy fabryki niemieckie żyłowały robotników do ostatnich granic wytrzymałości, konstruktorzy i mechanicy angielscy mieli dużo wolnego czasu, tyle akurat, żeby jakości

przekładać nad ilość, żeby np. słynny dziś "Spitfire," którego modele zdobywały puhar Schneidera mógł bez żadnych zmian przejść z modelarni do masowej produkcji. I wreszcie jedno jeszcze — tam gdzie tylko powiewa Union Jack: przeplatujące się czerwone, niebieskie i białe krzyże Anglii, Szkocji i Irlandii opowiadanie o uczuciach jest nieprzystojnością w najwyższym stopniu. Miłość ojczyzny nie potrzebuje do życia wrzasków, machania chorągiewkami i patetycznej deklamacji; wszyscy wiedzą, że tkwi ona tak głęboko w sercach, że można sobie nawet pożartować na ten temat, ale to Niemcy brali za degenerację.

Dziś nad brzegami Anglii i Szkocji z jednej strony walczą odwadnie ale zhisteryzowani ludzie na maszynach, niewątpliwie doskonałych, ale wyprodukowanych najwyższym wysiłkiem zrujnowanego kraju. Naprzeciw nim są inni ludzie, którzy spali przez ostatnie lata i jedli i odpoczywali. I którzy ponadto wiedzą, iż rzeczy tego świata przejściowe są i złudne i którzy lubią wprawdzie herbatę, ale o tyle pamiętają lacinę, że bardzo złym zresztą akcentem, potrafią powtórzyć sobie samemu i w najgłębszej tajemnicy "Dulce et decorum est pro patria mori" (Słodko jest i chlubnie umrzeć dla ojczyzny) — a poza tym organicznie nie znoszą wrzasków.

I są naprzeciw Niemców maszyny, za którymi leży stuletnia tradycja uczciwości i talentów angielskiego robotnika.

Nie należy bawić się w proctwa. Wystarczy trochę matematyki i werset z Pisma św. Werset ten brzmi: "Po owocach ich poznacie je." Anna Grey

PARLAMENTARYZM NARODZIŁ SIĘ W ANGLII

Wielka Brytania z dumą zwykła uważać się za kolebkę demokracji. Na pozór wydaje się to absurdem—przecież Wielką Brytanią rządzi dziedziczny monarcha, przecież w Westminsterze obok Izby Gmin zasiada Izba Lordów, a arystokracja nadaje ton życiu całego kraju. Cóż to więc za demokracja?

Należy sobie jednak zdać sprawę z kilku zasadniczych faktów, przede wszystkim zaś ze szczególnej niechęci Anglików do rozstania się z instytucjami odziedziczonymi po praocjach. Nawet kiedy tracą one wszelką rację bytu, zachowuje się je jako symbol dawnej świetności.

Król nie rządzi Anglią już od kilku stuleci, chociaż na zewnątrz zachowuje się wszelkie znamiona jego władzy, a Izba Lordów pozbawiona jest wszelkiego znaczenia politycznego. O ile zaś chodzi o arystokrację, nie jest ona, jak dawniej, kastą zamkniętą, gdyż dzisiaj każdy zasłużony Anglik może uzyskać tytuł szlachecki, stara zaś arystokracja rodowa, dzięki niezwykle wysokim stawkom podatku spadkowego, zmierza szybkim krokiem do zupełnej ruiny.

Król jest symbolem jedności Imperium, arystokracja,

oniś potężny czynnik w życiu narodu stanowi symboliczny ornament dla okraszenia szarego życia naszej uprzemysłowanej epoki.

Otwarcie Parlamentu przez króla daje co prawda okazję do rozwinięcia pięknego i pompatycznego ceremoniału, ale mowa, którą król przy tej okazji wygłasza, musi być napisana przez premiera, odpowiedzialnego jedynie wobec Parlamentu.

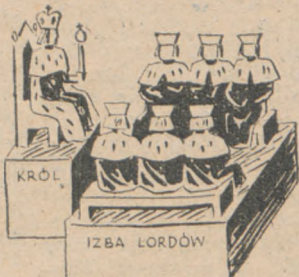
Dziś Wielką Brytanią rządzi nie Król sam, nie Lordowie, lecz Izba Gmin, która reprezentuje cały naród.

ROZWÓJ WŁADZY PARLAMENTU



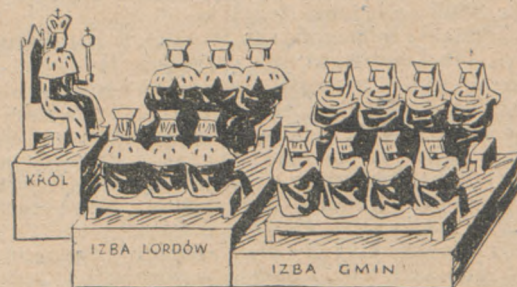
1100

Król jest władcą absolutnym; ma on prawo życia i śmierci nad swoimi poddanymi; dyktuje prawa i ustala podatki.



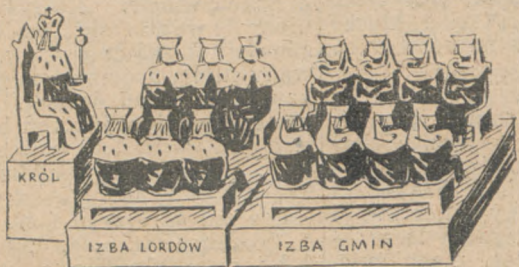
1215

Baronowie, t. zn. bezpośredni lennicy króla zmuszają go do podpisania t. zw. Magna Charta. Dokument ten ogranicza prawa króla, zabezpiecza swobody i przywileje wszystkich wolnych obywateli.



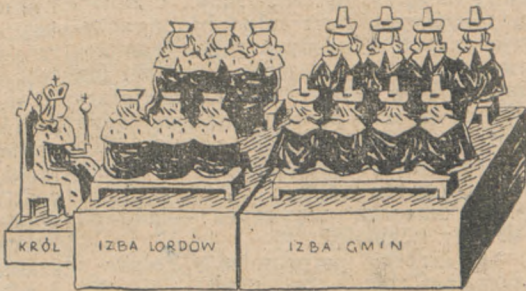
1260

Obok Izby Lordów powstaje oddzielna Izba Gmin, w której zasiadają przedstawiciele szlachty poszczególnych hrabstw oraz przedstawiciele głównych miast. Obie Izby razem przybierają nazwę Parlamentu.



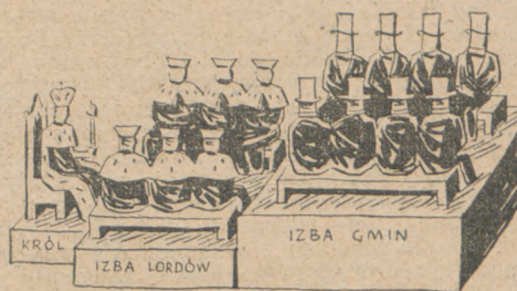
1407

Izba Gmin zostaje zrównana w prawach z Izbą Lordów, a przy uchwalaniu podatków otrzymuje pierwszeństwo.



1689

Rewolucja tego roku doprowadza do ostatecznego triumfu Parlamentu nad władzą królewską. Każdy nowy władca musi zaprzysiąc t. zw. Bill of Rights, który ustala pierwszeństwo Parlamentu.



1911

Izba Lordów zostaje ostatecznie pozbawiona znaczenia politycznego; nie ma prawa dyskusowania budżetu, a we wszystkich innych sprawach może korzystać jedynie z warunkowego "weta" (sprzeciwu).

Jeżelibyśmy nawet uznali, że system parlamentarny oparty na pięcioprzymiotnikowym prawie wyborczym nie jest jeszcze idealną formą ustroju państwowego, to jednak należy go uważać za decydujący etap na drodze do osiągnięcia ideału wolności osobistej i prawa stanowienia jednostki o swym losie.

W walce o zrównanie wszystkich obywateli wobec prawa przez zniesienie przywilejów stanowych i klasowych, parlamentaryzm brytyjski przez długie stulecia był głównym narzędziem postępu, stanowiąc zarazem szkołę, w której kształtowała się świadomość polityczna narodu. Jeśli podziwiamy wspaniałe poczucie obowiązku obywatelskiego u Anglików, ich świadomość swych praw i wynikającej z nich odpowiedzialności jednostki za los kraju, to powinniśmy zdać sobie sprawę, że zawdzięczają oni te cechy kilkuwiekowej tradycji demokratycznej, która przymus zastąpiła perswazją i budowała przyszłość na wierze w zdrowy rozum i sumienność obywatela.

Anglicy od wczesnego średniowiecza skutecznie walczyli o rządy demokratyczne, t. zn. o rządy z woli narodu i gwoi narodowi. Król Karol I, który w XVII w. usiłował wprowadzić rządy samowładne przyplacił w próbie głową, a jego syn Jakub za podobne zamiary został wygnany z kraju. Od tego czasu rządy Parlamentu nigdy nie zostały zachwiane, za to sam Parlament przeszedł przez szereg reform, które z reprezentacji klas posiadających uczyniły go rzeczywistym przedstawicielstwem całego narodu. Typowym dla dojrzałości politycznej angielskich mężów stanu jest fakt, że w przeprowadzeniu tych reform partia konserwatywna, reprezentująca właśnie klasy uprzywilejowane, z powodzeniem współzawodniczyła z partią liberalną. Tak np.

ROZWÓJ PRAWA WYBORCZEGO



Uprawnione do głosowania są jedynie klasy wyższe.



Pierwsza reforma Parlamentu podwaja liczbę wyborców, dopuszczając do urn klasy średnie.



Dzięki obniżeniu cenzusu majątkowego, prawo głosowania obejmuje szerokie rzesze wykwalifikowanych robotników. Liczba wyborców wzrasta tym razem o 150%.



Wprowadzone zostaje powszechne prawo głosowania. Po raz pierwszy dopuszczone są do urn również kobiety.

reforma 1868 r. która obdarzyła prawem wyborczym milionowe rzesze robotników wykwalifikowanych, była dziełem konserwatywnego premiera Disraeli'ego.

"Państwo jest dla obywatela, a nie obywatel dla państwa." "Dobro ogółu jest ważniejsze od dobra partii"—te dwie zasady zrosły się z życiem politycznym Wielkiej Brytanii. Żadna, nawet najpotężniejsza, klika nie ośmieli się i nie potrafi ich przełamać. Każdy rząd, nawet o ile ma za sobą poparcie Parlamentu, nie zaryzykuje na dłuższą metę działania na przekór opinii publicznej. Wie on dobrze, że wszelkie jego poczynania spotkają się ze swobodną i otwartą krytyką ogółu i że będzie z nich musiał wcześniej czy później zdawać sprawę przed sądem wolnej myśli wolnych obywateli.

Życie polityczne Wielkiej Brytanii pozbawione jest patosu taniej frazeologii politycznej oraz swarów i brudnych machinacji partyjności, tak popularnego gdzie indziej. Sprawy państwowe i niezbędne reformy są zawsze przeprowadzane w atmosferze spokoju i rozwagi. Dlatego też zapewne nowoczesne dzieje Wielkiej Brytanii znają tak mało gwałtownych wstrząsów wewnętrzno-politycznych.

Być może, iż parlamentaryzm brytyjski jest pod pewnymi względami przestarzały i wymaga udoskonalenia. Jeśli jednak uprzedmiotnimy sobie, że w jego ramach zdołano przeprowadzić olbrzymi program reform socjalnych, jak np. usankcjonowanie związków zawodowych, ośmiogodzinny dzień pracy i ubezpieczenia społeczne, będziemy musieli stwierdzić, że demokracja brytyjska jest co najmniej Społecznością Ludzi Rozumnych.

Ułożyli i rysowali Lewitt i Him

Maszerują chłopcy...

Wypadło więc wyewakuować Paryż. Do ostatniej chwili wprawialiśmy w siebie, że to tylko "normalne przeniesienie do Angers," ale gwałtownie jakieś kleszcze, gdy co raz ciszej było na Avenue de l'Opéra, co raz puszcij na białych quais, a pod srebrnozielonymi płatkami nie calowały się już wycieczki Francuzek z swymi poilus.

Słońce jednak trwało na niebie po dawnemu wesołe i złote; niziutko i spokojnie zwieszały się festony zieleni z murów Cité ku migoczącej Sekwanie. Wieczorem przy księżycu chodziliśmy dalej na Parvis de Notre-Dame, patrzyło na wspaniałe, odorujące swym niesamowitym czarem biały szkielet przeszłości i gwałtownymi haustami piło ze wspomnień dziełnością wiarę, w niezniszczalność Francji, w jej wieki, duchową moc.

Aż przyszło nieuniknione. Ewakuacja. Opuszczaliśmy Paryż w ostatniej kolej, gdy pustka chodząca już po ulicach. Każdemu z nas bolesnym rykiem utrwalił się na zawsze w pamięci ciemny wieczór, w który opadła na Paryż gęsta, żółta mgła: ni to opar z nieistniejących bagien, ni to dym dalekich pożarów. Głucha, złowrobną ciszą czaiła się z niewiedzieli kiedy, pokochanych ulic. Milczały niewidzialne domy, znikły w ciemnościach drzewa, nie szepotała Sekwana.

Dumni byliśmy, że—ostatni na posterunku. Ale rozkaz ewakuacji i odwrotu przyszedł tak późno, że wiele oddziałów, nie zdążyło przedostać się do portów, że okrażeni przez wroga—po dziś dzień pozostawili nas w bolesnej niepewności co do dalszych swych losów. Ale jakże mogliśmy wycofać dywizję, gdy dowództwo francuskie zapewniało, że jednak dojdzie do rozprawy nad Loarą. Sytuacja nie była beznadziejna, a sława zdobyta w Norwegii—żądała nowych kart na ziemi francuskiej. 1 i 2 D.P. nie były zaś przednią strażą: krok po kroku osłaniały odwrot armii francuskiej—widząc jak dla nich samych zamykały się wszystkie przejścia, prócz jednego—na przelaj poprzez wrogie szeregi.

Po ciężkich przejściach, po wielu trudnościach, których przewyciężanie zależało niejednokrotnie od energii i inteligencji poszczególnych jednostek oddziałów, instytucje wojskowe, cywilne oraz rodziny żołnierzy—spłynęły do szeregu portów francuskich. W Bayonne, Le Verdon, St. Jean-de-Luz, La Rochelle, St. Malo/gdzie Niemcy byli pierwsi na starcie, i innych wyznaczonych zostali przez władze polskie komendanci, których zadaniem było wystaranie się o okręty i załadowanie wszystkich Polaków obecnych w danym porcie.

W Bayonne sprawa była o tyle prosta, że ładowali się tam jedynie lotnicy. Zebrali się tych niebieskich zalotników przeszło trzy tysiące: bractwo na komendę maszerowało czwórkami na okręty—kropka. Wprawdzie znalazło się także w porcie około stu kobiet—żon tychże lotników, ale rozkaz władz naczelnych brzmiał: ładować jedynie oddziały. Więc poprzez głowy i bariery zegnali się zdala najbliżsi—znakiem krzyża, ukłonem wojskowym. Kobiety zostały. Nie zabrały ich też i inne okręty.

W żadnym z pozostałych portów nie znalazło się więcej nad tysiąc ludzi. Jedynie na cyplu długiej mierzei o 100 km. od Bordeaux zgromadziły się liczniejsze rzesze. Około 10,000. Jeden oddział gen. Maczka na motocyklach, inne oddziały na kamionach, instytucje wojskowe, cywilne, niezorganizowane grupy, kobiety, dzieci.

W Le Verdon są tylko budynki portowe i kilka domków rozrzuconych wzdłuż drogi, w okolicznych laskach. Samo miasteczko położone jest bliżej środka mierzei. O świcie, dnia 20 czerwca ruszyły pierwsze wozy z Bordeaux do Le Verdon. Pierwszy przybył komendant ewakuacyjny Le Verdon—płk. T. ze swoim sztabem i oddziałem żandarmerii. Następne wozy witane już były przez posterunki na rozgałęzieniach dróg.

Kto jedzie—notują. I wskazówki: Droga na prawo, lub na lewo; podjechać tyle to metrów, ukryć wóz tam i tam.

I tak, gdy wszystkie laski dochodzące do samego mola, od którego dzieliła je tylko szeroka droga—gdy wszystkie te laski były już jak mrowiska—z powietrza okolica zdawała się wymarła, drogi puste. Srebrny

Messerschmidt, brzęczący w powietrzu jak zła osa nie wypatrzył tysięcy oczu, goniących za nim z nienawiścią poprzez zieloną gęstwinę. Pokręcił się nad portem, coś sobie na niebie zanotował białą smugą dymu i pogonił jak szalony w powrotną drogę, by donieść ciężkim Dornierem o trójtaktowych motorach, że w porcie ładuje się jedynie grupka Czechów, że statek lada chwila odpłynie. I odpłynął nim nadleciały, ale przed tym zafiarował nieco wolnych miejsc Polakom. Oddano je chorym i ranym. Proponowano też kobietom, lecz przeważnie odmawiały, chcąc przed odpłynięciem upewnić się co do losu mężów i synów.

Dzień był upalny, jak cały ten francuski czerwiec. Oblewając się potem, ścigało się walizki z wozów i mozołnie—kilometr za kilometrem—wkłoko poprzez gąszcz krzewów, doły i wertepy jak najbliższej portu. W małym lasku przybrzeżnym leżał pokotem na wyszechłej ziemi, śledząc zmaczonymi oczyma ruch w porcie.

Komendant portu—Francuz irytował się, że właśnie poszedł na dno trawler na minie magnetycznej, denerwował, że spada mu na głowę fala Polaków. I gadać o niczym nie chciał, mimo, że widać było komin statków francuskich, stojących na redzie Le Verdon.

W południe nudę bezowocnego oczekiwania przerwała atrakcja: przyszły trzy Dornieri i zaczęło się obustronne wielkie pranie. Armatka portowa i karabiny maszynowe szalały. Odłamki graudem sypały się na laski. Nie wywołało to paniki. Kobiety i dzieci przyglęły mocniej do ziemi, poderwali się z zaciśniętymi zębami żołnierze, zaszczykały zamki. A gdy Dornieri koszącym lotem zawróciły bezczelnie do mola—nie wytrzymał najbliższy lasek: zahuczał strzałami. Poszły wściekłe rozkazy:—nie strzelać, nie zdradzać obecności.

Gdy za znikającym wrogiem nadciągnęła burza—powitano ją z radością. Pod spadającymi kroplami deszczu i pod czujnym okiem strażników—znosiło się bagaż na molo, ustawiło w karne szeregi i grupy. I wycofywało do lasków. A gdy potoczył się po niebie pierwszy grzmot i lunęły potoki niewidzialnej ulewy—nie rozplakano się żadne dziecko. Tulili je i okrywały mokrymi płaszczami uśmiechnięte matki myśląc z radością, że oto pod życzliwą osłoną burzy i naddiętej już nocy—idą, zbliżają się ich najbliżsi.

Ledwie przetrzało się niebo i nadszedł świt—zaszumiła w laskach radosna wiadomość o sygnalizowanych statkach angielskich. Przywiózł ją sam Naczelny Wódz samolotem z Anglii. Próbowal wodować w Le Verdon, lecz że działo się to w czasie nalotu Dornierów—siadł gdzieś pod

Arcachon. I zameldował się komendantowi ewakuacji—właśnie przybyły major na czele wspaniałego oddziału motocyklistów w pełnym rynsztunku. Ludzi przybywało, zjeżdżały kamiony, nadchodziły oddziały tak świeże i zdyscyplinowane, że choćby zaraz z nimi w ogień. Tylko tam przy drodze płakał jakiś porucznik, że mu rozkazem zdemobilizowano oddział, że rozsypano mu chłopaków na łaskę losu. A przecież bym ich wszystkich tu doprowadził. Tyle miesięcy pracy, taki żołnierz...

Godzina 5-ta rano znów poderwała znużone tłumy. Znow Dornieri. Ale tym razem nadleciały też i francuskie myśliwce. Zwrotne, błyskawicznie szybkie. Rozlatywały się jak stado wróbli i jak wróble dopadały Dorniera od przodu, zjadając ćwierkając karabinami. Tu jeden atakował go od brzucha—zadierał dziób do góry i walił jak w bęben. Drugi znow już Dornierowi na karku siedział i tłukł. Zachybotał się kolos. Czym prędzej gruchnął cały ładunek bomb w morze i, oganiając to z prawa, to z lewa—pogwałt swym Kameradem, co nie ciekaw losu towarzysza, zmiatał kuląc pod sobą podwozie, jak pies ogon.

Odtał chodzący nad wodą myśliwce francuskie i port miał spokój.

Komendant portu—Francuz wciąż się opiera. Mówi o zamkniętych port minach magnetycznych, zruconych przez samolot niemiecki. Kapitan angielski ma fajkę w zębach. Mówi o powierzonym mu przez Admirala Jego Królewskiej Mości zadaniu. To dla niego ważniejsze, niż miny. Do portu wchodzi.

Francuz się rzuca:—ładować nie pozwolę.

Krótkie porozumienie Polaka z Anglikiem. Już oddział Maczka zajmuje port. Z angielską flegmą—polskie Bartki ustawiają kulmioty. Oczywiście—tymczasowo—lufy zwrócone Panu Bogu w okno.

Ale płk. T. jest zdecydowany. Francuz tylko chwilę się waha: krótkie spojrzenie w spokojne, stalowe oczy Polaka. Ustąpił: "na pańską odpowiedzialność"—I wzruszenie ramion:—10 tysięcy. We dwa dni się nie uporacie z ładowaniem.

—Nie uporam się.—płk. T. parska śmiechem. Szybkie obluczenie: miejsce dość. Jeszcze szybsze rozkazy.

Port Le Verdon—kobiety i dzieci. Port Pointe de Graves—oddziały. Naprzód kobiety. Radosny szmer poprzez laski:—rodziny też jadą.—Trochę zdenerwowania, gdy następuje podział na trzy okręty. Nie ma pewności czy wszystkie dopłyną. Wobec śmierci leżbyć z najbliższymi. Jednak—bez leż krótkie, odważne rozkazy.

Nowe rozkazy padają: zostawić część bagażu, miejsce dla

ludzi może nie starczyć. Bez wahania kobiety rzucają walizki. Ta i druga tylko paczkę listów z nich wyciągnie, jakąś fotografię szybko na piersiach ukryje. Trochę może przy tym nerwów, trochę tłoczenia się: żeby przedej, żeby już.

A ludność miejscowa całym sercem odniosła się do Polaków. Kilka przybrzeżnych domków i will zaopiekowało się jak mogło nieprzybranymi rzeszami. Ulatwiano im aprowizację, dostarczano wodę, przytulono chorych i rannych. Gdy nareszcie ładowano się na statki—domki zęgnęły z płaczem: wróćcie... Au revoir amis, au revoir...

Noc jedna, druga. Gdy laski oddychają snem—nikt ze sztabu ewakuacyjnego nie śpi. Komendant przyjmuje raporty. Z Saintes żadnych wiadomości, z Saintes, gdzie było M. S. Wojsk. i Sztab Główny. Więc stateczkiem na drugą stronę zatoki jeden łącznik, drugi. Więc do Bordeaux, do Komisji transportowej przynaglenie przez umysłnego. Por. R. rozkaz ma wyraźny: "zmusić do wysłania lokomotywy do Saintes."

Nie odjedziemy przecież bez tamtych. A czas nagli. Niepokój żre. Co robić, jeśli nie zdążymy załadować się, odpłynąć. Wiatr przynosi chwilami głuchy odgłos armat, taki sam, jakiego słuchaliśmy podczas paryskich nocy. Nikt nie śpi—słucha nadciągającej śmierci i chmurnie myśli o obronie do ostatniego tchu. Nie ma lęku, jest tylko zjadała wściekłość, tylko głuche tętno krwi—niczym echo dalekich wystrzałów.

Aż nareszcie, gwizdząc i sapiąc przebiega się poprzez laski stara lokomotywa, wlokąc roztrzęsione, nabite ludźmi wagony. Całe M. S. Wojsk. i harcerze, i rodziny oficerów, i szkoła jakaś. Klaszcza laski:—niech żyje Saintes, niech żyje. I biegną do stacyjki portowej, dopadają znajomych i nieznajomych, ciągną do swych leńszych kryjówek, dziela się ostatnimi porcjami konserw i wody.

Aż nagle znow trójtaktowy szum w powietrzu i na tłum bezbronnej, na okręty przy molu stojące rzucają się Dornieri. Kolejno każdy pikuje, kolejno wyrzuca ładunek bomb. Tłum drga, faluje, lecz nie ucieka. Dobiągają żołnierze do karabinów maszynowych. Huragan kul—piekło.

Czarne krople bomb kąpią z przelatujących nisko—tuż nad okrętem samolotów. Gdzieś u diabła podziały się francuskie myśliwce. Tuż koło burty wybuchy; szczęśliwie żadna bomba nie trafia. Olbrzymia fala zalewa statek, uderza w molo, przewraca ludzi. Szczekają karabiny—białe strugi kul przecinają niebo. A ładowanie na tangujących statkach trwa bez przerwy.

Odleciały Dornieri. Musiały je dopaść niektóre kulki—żołnierze są tego pewni. Tempo ładowania

wzrasta: z dwóch dni roboty robi się nagle jeden. Do połowy tego jednego jeszcze daleko a ładowanie dobiega kresu. Nie może być—skończone. Równie dziewięć godzin. Idą w las patrole, przeskukują gąszcz, podnoszą rzucone walizki. Wracają obładowane z meldunkami: nikogo, wszyscy załadowani.

Pewna zwłoka w ładowaniu trzeciego okrętu. I jest nadzieja, że w nocy nadciągną jeszcze maruderzy. Decyzja: statek odbije o świcie. Płk. B. ładujący go zostanie więc i gen. K. również.

Odbijamy. Kierunek—Szkocja, Liverpool. Ano—co Bóg da.

Upał duży—duszo pod pokładem, duszo na pokładach. Ale radość z osiągnięcia. Żołnierze są beztroscy: czyszczą buty, śpiją. Płyniemy, ale jak płyniemy: 2 węzły w lewo, 2 węzły wprost, 2 węzły w prawo. Jakaś dziwna linia krzywą rysującą swe arabeski białą pianą na dziwnie spokojnej, ciemnej toni. A za nami konwojent—torpedowiec, a nad nami zataczający koła samolot Royal Air-Force. Gdy mamy go nad głowami—tysiące głosów krzyczy, tysiące rąk się ku niemu wyciąga. Odpowiadają nam ruchami dłoni.

Kontrtorpedowiec coś sygnaлізуje—na co nasze statki w cichym oblędzie rozpoczynają nową serię tanecznych pas i entrechats. Kontrtorpedowiec wybucha strzałami. Dopiero nazajutrz mówi się nam:—goniła nas "U-Boot."

Stoimy na najwyższym pokładzie. Wieczór nadchodzi, czerwona kula słońca opada ciężko ku zachodowi. Lecą za statkiem mewy, krzyczą. Jest dziwnie niewyczekiwane. Któryś z żołnierzy wdarł się na maszt, zawiesił polską chorągiew. Malowany film wspomnień miga błyskawicznie przed oczami. Nikt z nas nie pamięta już kim był, kim jest

... dzisiaj na wielkim morzu zabłąkany
Sto mil od brzegu i sto mil za brzegiem...

Żołnierzem-tulaczem?

Bucha chór zmieszanych głosów z dolnych pokładów, wygłada się, porządkuje:

"Maszerują chłopcy, maszerują,
śmierć za nimi idzie w ślad..."

Skra elektryczna przez okręt: to nie żołnierz-tulacz, to śpiewa armia polska, która nie zaprzestała walki, która do kraju wróci.

Idzie noc, a z nocą burza. Gdy tak, leżąc pokotem, wznosimy się raz głową, raz nogami, lub też przetaczymy z prawa na lewo, a dusza wraz z żółdkiem wywraca się podszewką na zewnątrz—jedyna myśl cieszy z morderowanych ludzi: burza uniemożliwi napad, nie pójdziemy do rybek.

I nie poszliśmy. Na jednym ze statków przyjechał nawet jeden obywatel więcej, niż było załadowane. Miał całe pół dnia życia, gdy z wrzaskiem wysiadł w Liverpoolu.

Więc dojechaliśmy do Anglii. Do kraju, o którym mówiło się czasem ze złością a zawsze z podziwem. Przywitał nas policjant tak wysoki, że huknęły śmiechem mazurskie żołnierze na widok "cudoka." I przywitani ludzie uśmiechnięci, spokojni, serdeczni.

Komendant Le Verdon działa dalej. Coś uszył bracie—pruj teraz. Więc wylądowano dwa pierwsze statki i ten trzeci opóźniony, co to o świcie wyruszył. A że wieczorem przysył meldunki, iż płynię już St. Jean-de-Luz i Bayonne, więc "sztab" Le Verdon zaczął na nie do dnia następnego.

Niedawno jeszcze dobił do brzegów Anglii jeden bardzo spóźniony statek. Nikt już na niego nie czekał. Ale da Bóg, więcej będzie takich. Może potrafi się też wy dostać owe 800 kobiet i dzieci—uratowanych z Polski, porzuconych we Francji. Może zdoła się przedrzeć poprzez wraże szeregi, obce granice, morza niechętnie—bohaterski żołnierz polski, co wniebie osłaniał odwrot sprzymierzeńców? A gdy rzeczywistość ostatni polski żołnierz opuści Francję—powitamy go radośnie pewnością silni, że—na ziemi angielskiej—naszą polską wolność wywalczy.

"Maszerują chłopcy, maszerują,
śmierć za nimi idzie w ślad..."

Zygmunt Dąbrowski

Jeden z pierwszych

W wielkiej bitwie powietrznej toczącej się nad Anglią i Kanalem od 12 sierpnia, zginął w walce powietrznej, jako jeden z pierwszych polskich lotników, walczących o Polskę nad ziemią brytyjską

S.P. KPT. PIL. OBS. INŻ.
WILHELM PANKRATZ.

Lotnictwo nasze poniosło poważną stratę, bowiem s.p.kpt. Pankratz był jednym z przodujących oficerów młodego pokolenia, które pokładało w Nim duże nadzieje.

S.p. kpt. Pankratz rozpoczął służbę wojskową w kawalerii, jednak zamiłowania do techniki i niepośledni temperament skłoniły go do przeniesienia się do lotnictwa. W roku 1926 wstąpił do Szkoły Podchorążych Lotnictwa w Grudziądzu, (która w następnym roku przeniesiono do Deblina). Po ukończeniu szkoły w r. 1928, jako podporucznik-obszernik odszedł do 1 pułku w Warszawie, skąd w następnym roku wystany został na kurs pilotażu. Będąc pilotem myśliwskim, mając już pewne podstawy oraz zamiłowanie i wrodzone zdolności postanowił zdobyć wyższe wykształcenie techniczne. Studiując na politechnice zastrzegł się rozmowach z kolegami i przełożonymi, że bynajmniej nie zamierza zrezygnować z latania w jednostkach bojowych.

Jako inżynier-mechanik, specja-

lizował się w uzbrojeniu lotniczym; w tym charakterze pracował ostatnie lata przed wojną w Instytucie Technicznym Lotnictwa, latając jednocześnie jako pilot na wszystkich typach naszych samolotów.

Wojna zastała kpt. Pankratza we Francji, gdzie był członkiem komisji odbiorczej. W październiku 1939 przybył do Londynu. Tu oczekując przydziału do jednostek polskich R.A.F. pracował w Attachacie. Jako inżynier przewidywany był do użycia w przemyśle angielskim lub w charakterze oficera technicznego w jednostce bojowej, jednak energicznie się od tego odmawiał, prosząc o przeszkolenie w pilotażu razem z innymi pilotami. Pragnął, by wspomniany o Jego dyplom inżynierskim, twierdząc, że na czas wojny "schował go do kieszeni" i chce walczyć, gdyż jest jeszcze wystarczająco młody (miał lat 35). Po kilku miesiącach znalazł się w dywizjonie bombowym jako dowódca eskadry, kiedy jednak przyszedł rozkaz podania kandydatów do lotnictwa myśliwskiego—zgłosił się z wielkim zadowoleniem, myśliwstwem bowiem odpowiadało więcej Jego temperamentowi.

Kpt. Pankratz był nie tylko wybitnym fachowcem uzbrojenia i bardzo dobrym pilotem, lecz był przede wszystkim żołnierzem i dowódcą w

każdym calu: energiczny, odważny w słowach i czynach, o dużym poczuciu odpowiedzialności, obok głębokiej inteligencji. Ponadto był najlepszym kolegą i doskonałym towarzyszem, działającym pokrzepiająco na otoczenie przez swój optymizm i niezwykły dar opowiadania anegdotek. Humor i dowcipy "Wilusia," jak Go koledzy nazywali, były słynne w lotnictwie.

W pierwszym tygodniu służby w jednostce myśliwskiej w Anglii s.p.kpt. Pankratz wspólnie z s.p.por. Ostowiczem, zaatakował niemiecki samolot bombowy. Kiedy nie wiadomo komu przyznać zwycięstwo i powstało pytanie, czy nie przyznać Niemca obydwu pilotom, kpt. Pankratz zrzekł się go natychmiast na korzyść młodszego kolegi, twierdząc, że ma duże wątpliwości co do swoich seryj. Oto przykład prawdziwego koleżeństwa i opanowania własnej ambicji.

Nie znamy szczegółów żołnierskiej śmierci kpt. Pankratza. Zginął w walce, która była Jego żywiołem, zginął w umiłowanym przez siebie lotnictwie, z gorącą wiarą w sercu, że lotnictwo przyczyni się w walnie do odzyskania Niepodległej Polski.

S.P. kpt. pil. obs. inż. Wilhelm Pankratz przeszedł do historii polskiego lotnictwa.
CZEŚĆ JEGO PAMIĘCI F.K.

Powstanie w Albanii

Dnia 13 sierpnia pisma doniosły o wybuchu powstania w Albanii. 100.000 Albańczyków chwyciło za broń, 400 żołnierzy włoskich zginęło, włoskie okręty wojenne zjawiły się w porcie Durazzo. Powstanie będzie zapewne zgniecione. Mała Albania, o milionowej zaludnieniu ludności nie będzie w stanie sprostać siłom faszystowskim. Fakt jednak, że powstanie to wybuchło, jest nowym dowodem, jak silna jest wola niepodległości narodu albańskiego.

Pięćset lat blisko Albania była prowincją turecką. Arystokracja albańska prędko bardzo po zdobyciu kraju przyjęła islam i w dawnej, sułtańskiej Turcji, gdzie więzy religijne były silniejsze od więzów narodowych, była nie tylko równoprawna, ale nawet uprzywilejowana. Dwudziestu kilku wielkich wezyrów, olbrzymia liczba wyższych wojskowych i dyplomatów Wielkiej Porty było z pochodzenia Albańczykami. Mimo to jednak nawet ta arystokracja nie sturczyła się, ale zachowała i język albański i poczucie odrębności narodowej. Lud zaś zachował przez całe te pięćset lat obcego panowania nie tylko poczucie odrębności narodowej, ale i tęsknotę za czasami niepodległości. W każdej prawie chacie albańskiej wisiał portret Skanderbega, ostatniego króla Albanii. Toteż, gdy wojny bałkańskie zachwiały potęgą turecką, w Albanii natychmiast wybuchło powstanie. I traktat pokojowy uznał niepodległość Albanii. Królem tej niepodległej Albanii został książę Wied, dosyć pocieszna figura, która znikła jak kamfora z chwilą wybuchu wojny światowej 1914-1918.

W czasie wojny światowej o niepodległość Albanii nie było mowy. Wojska austriackie, włoskie, francuskie rządziły na tym terytorium. Z chwilą jednak, gdy wojna zaczęła się zbliżać ku końcowi, znowu niepodległościowcy albańscy zaczęli działać. I do dziś najpopularniejszą piosenką ludową jest piosenka o tym, jak powstańcy albańscy w Durazzo wrzucili do morza wojska włoskie.

Traktat wersalski ponownie uznał niepodległość Albanii, już jako republiki. Nie wszyscy Albańczycy znaleźli się co prawda w obrębie niepodległego państwa. Na północ od Skutari część Albańczyków wcielono do królestwa Serbów, Chorwatów i Słowenów (ówczesna nazwa dzisiejszej Jugosławii), na południu Grecy zatrzymali okręg Janiny ze stu tysiącami Albańczyków. Tym samym od początku stosunki z dwoma sąsiadami były napięte. Z drugiej strony włoskie apetyty pozostały niezmiennie i Włochom udało się w Wersalu zdobyć dla siebie wyspę Saseno, która wprost zamyka wejście do Durazzo, głównego portu Albanii.

Wewnętrzne stosunki też były trudne. Istniało poczucie jedności narodowej, ale istniały i bardzo silne przeciwieństwa, wynikające z różnic religijnych. Trzy bowiem religie panowały w małej Albanii: na północy katolicyzm, na południu prawosławie a w centrum mahometanizm, który zresztą, wszędzie miał swoje wysepki. Gospodarczo kraj był szalenie zaniedbany. Do dziś dnia nie ma w Albanii ani jednego kilometra kolei żelaznej; ziemia prawie cała należała do bogatych bejów,

KOMUNIKAT

Sekcja Plastyków przy Ognisku Polskim w Londynie pragnąc nawiązać kontakt z wszystkimi malarzami i plastykami, służącymi w wojsku polskim, prosi o zgłaszanie nazwisk do redakcji "Polski Walczącej".

Sekcja Plastyków komunikuje, że koledzy—żołnierze pozbawieni możliwości nabycia niezbędnych materiałów malarskich czy rysunkowych winni niezwłocznie zwrócić się w tej sprawie do Sekcji Plastyków, która wystara się o te materiały i przesyła je na podane adresy.

Donosimy również, że przygotowujemy w Londynie wystawę pod hasłem: "Anglia widziana oczami polskich artystów" i prosimy kolegów żołnierzy o przygotowanie materiałów na tę wystawę. Dokładne dane, dotyczące wystawy będą zakomunikowane w terminie późniejszym. Zarząd Sekcji Plastyków

którzy znaczną jej część pozostawiali nieuprawną, chłop zaś był bezrolny.

Nie więc dziwnego, że pierwsze lata niepodległości były latami niepokojów i ciągłych rewolucji. Względne ustabilizowanie stosunków przyszło dopiero, gdy młodemu Ahmed Zogu, jednemu z przywódców północnych, górskich muzułmańskich szczepli, udało się obalić rządy biskupa Fan Noli, który opierał się na Sowietach, i zostać najpierw prezydentem Rzeczypospolitej, a potem i królem Albanii. Wiele zarzutów można było stawiać rządowi Ahmed Zogu. Zasługą jego jednak jest doprowadzenie do ustania walk religijnych i gwałtowne forsowanie szkolnictwa.

Zogu przeprowadził swą rewolucję przy pomocy Jugosławii. Wkrótce jednak pokłócił się z byłymi protektorami i układem z roku 1921 oddał się pod opiekę włoską. Albania stała się włoską *place d'armes*, skierowaną przeciwko Jugosławii. Prowłoska polityka króla Zogu była jednak jedynie taktyką chwilową. Gdy włoscy posłowie zaczęli się rządzić jak prokonsulowie, gdy gospodarczo zaczęli traktować Albanie, jak kolonię—Zogu zaprzagnął zrzucić jarzmo włoskie. Było to w roku 1934. Traktat z Włochami nie został odnowiony. Oficerów włoskich odwołano.

Próba wyswobodzenia się nie udała. Przede wszystkim nie udało się zastąpić włoskiej pomocy finansowej inną. Król Zogu zwrócił się do Ligi Narodów o pomoc, na wzór pomocy udzielonej Austrii, Węgrom, Grecji, Bułgarii. Do złożenia podania w ogóle nie doszło. Ówczesny sekretarz generalny Ligi p. Avenol, który był admirałem faszystów, wytłumaczył Albańczykom, że sprawa jest beznadziejna. Londyn zaś i Paryż żadnej zachęty nie daly. Były to przecież czasy dbania o względy Mussoliniego, jako sprzymierzeńca przeciw Hitlerowi, czasy tego niesłychanego bluffu, który nazywano "frontem Stresy" t. j. frontem anglofranko-włoskim przeciw Hitlerowi.

Z drugiej strony Mussolinemu udało się sparaliżować polityczne poparcie Albanii przez blok bałkański. Tak samo, jak w Grecji

mniejszość albańska, tak samo istnieje w Albanii mniejszość grecka. W tym samym czasie, gdy Zogu chciał się wyswobodzić z zależności włoskiej, przyjaciel Mussoliniego Venizelos rozpoczął w Grecji kampanię o prześladowania Greków w Albanii. Rząd grecki musiał ulec tej kampanii i stosunki grecko-albańskie uległy zaostreniu. Ze zaś były to miodowe miesiące porozumienia bałkańskiego, i Jugosławia i Turcja uznały, że muszą się opowiedzieć w tym sporze po stronie greckiej.

Albania pozostała więc osamotniona i król Zogu musiał pójść do Kanossy. Zawarto nowe umowy z Włochami, do rządów doszli zwolennicy faszystów.

Mussolinemu jednak ten faktyczny protektorat nad Albanie nie wystarczał. Wiedział, że Włochy są zniechęceni i że przy pierwszej okazji Albania się usamodzielni. Wiedział, że ciągle są powstania i ruchawki właśnie w celu zrzucenia włoskiego jarzma. To też w czasie układów monachijskich zapewnił sobie, jako napiwek od Hitlera zgodę na zajęcie Albanii. I w Wielki Piątek 1939 roku wojska włoskie wylądowały w Durazzo, a aeroplany włoskie poczęły bombardować wsie i miasta albańskie.

Rządy europejskie nie zareagowały na tę zbrodnię. Ciągle jeszcze ludność w stolicach, że uda się rozerwać związek między Hitlerem a Mussolinim. Opór albański—bo opór był—po kilku dniach został złamany. Król Zogu z żoną bezpośrednio po pogoju i dżekiem udał się na wygnanie. W Albanii zapanował faszystów. Karzeł Wiktor Emanuel włożył jeszcze jedną kradzioną koronę.

Powstanie obecne wskazuje jednak na to, że wola tego odważnego górskiego narodu nie została złamana. Albania staje w szeregu sprzymierzonych. I będzie znowu wolna.

Historia bywa czasem ironiczna. Prasa włoska rozpoczęła kampanię przeciw Grecji z powodu prześladowania mniejszości albańskiej w Grecji. I kto wie czy ta mniejszość albańska nie posłuży Mussolinemu za pretekst do zwasalizowania, jeżeli nie gorzej jeszcze, do podbicia Grecji. XXX

Przegląd polityczny

Ubiegły tydzień stał pod znakiem wielokrotnie zapowiadanej i na ogromną miarę zakrojonej ofensywy niemieckiej.

"Jest już pięć minut po dwunastej"—głosiła w przeszłą sobotę prasa niemiecka—*godzina końca Wielkiej Brytanii wybiła.* Tymczasem okazało się, że wybiła godzina końca, ale tylko dla bardzo wielu lotników niemieckich. Pierwszy raz w ciągu tej wojny—i w ogóle historii wojen rozegrały się prawdziwe bitwy powietrzne, w których po obu stronach brało udział do tysiąca aparatów. Cel ten gigantycznego ataku był prosty. Chciano sparaliżować wszystkie brytyjskie ośrodki lotnicze na wybrzeżu wschodnim, wywołać panikę ludności, dezorganizować służbę angielskiego sztabu generalnego. Każdego dnia radio niemieckie podawało wiadomości a "słabnącym oporze brytyjskim," lada dzień miał nadejść "końcowy sukces." Nie nadchodził on jednak, natomiast przyszły wiadomości o ogromnych stratach niemieckiej floty powietrznej. *W ciągu sześciu dni stracili Niemcy na pewno 710 aparatów a prawdopodobnie około 800.* W sobotę 17 sierpnia w działaniach ofensywnych niemieckich nastąpiła przerwa.

Rozpoczęła się natomiast bardzo zaciekle kampania radiowa, której przebieg jest dla W. Brytanii również korzystny. Albowiem radio niemieckie w czasie walk we Francji na ogół dosyć ściśle—*podaje od kilku dni wiadomości całkowicie fantastyczne.* Słyszeliśmy więc o "panice w Londynie," o "pośpiesznym ewakuowaniu miasta," o "kolosalnych stratach w lotnictwie brytyjskim" i t.d. Bardzo charakterystyczne zjawisko.

Gdy już mowa o radiu—to zanotujmy charakterystyczne oświadczenie stacji moskiewskiej, że "Ameryka zmierza do wojny w siedmiomilowych butach." Przepuszczenie to zdają się potwierdzać ostatnie wiadomości ze Stanów Zjednoczonych. A więc pierwsza, że Ameryka całkowicie zignorowała zapowiedź niemiecką o "bezwzględnej blokadzie wszystkich wybrzeży Anglii." Mogą sobie Niemcy rzucać z samolotów pływające miny, a statki z Nowego Yorku będą przybijały do portów Liverpoolu, jak przybijają dotychczas.

Drugi bardzo charakterystyczny fakt, to mowa kontrkandydata Roosevelta na stanowisko Prezydenta Stanów. Wendell Willkie poparł w całej rozciągłości znaną tezę Roosevelta.

"Muszę wyraźnie zaznaczyć—mówił Wendell Willkie—że flota brytyjska jest poważnym czynnikiem w naszej obronie. A to z tego powodu, że strzegąc bezpieczeństwa Atlantyku, pozwala nam skupić uwagę na Oceanie Spokojnym. Klęska floty brytyjskiej byłaby dla nas katastrofą. Albowiem wówczas Stanom Zjednoczonym będzie zagrożone bezpieczeństwo ataku od strony Oceanu Atlantycznego.

I p. Wendell Willkie, w przededniu wyborów, zapowiada bezwzględne poparcie wysiłków W. Brytanii. Bardzo charakterystyczne oświadczenie, wzmacniające mimo wszystkich zastrzeżeń p. Willkie'go w sprawie metod politycznych jego wielkiego rywala—pozytywnie Prezydenta Roosevelta.

Prezydent Stanów nie bierze udziału w kampanii wyborczej. Wysiłki jego zdążają w tej chwili do ustalenia wspólnego planu obrony wybrzeży kanadyjskich. Rokowania prowadzi się w tempie przyspieszonym—i według opinii prasy amerykańskiej, znajdują się one na najlepszej drodze.

Sytuację polityczną na zachodniej półkuli można określić następująco: jeżeli wyspy angielskie obronią się—a są wszelkie dane, że to rzeczywiście nastąpi—to interwencja Ameryki jest pewna. A wystąpienie Stanów Zjednoczonych okaże się prędzej czy później równoznaczne z klęską wszelkich totalizmów w ogóle a nazizmu w szczególności. Państwa anglosaskie, których los został związany z losem chrześcijaństwa i podstawowych praw człowieka rozporządzają trzema bardzo poważnymi czynnikami, którymi są: woda, ogromna potęga gospodarcza i silne nerwy. Zwłaszcza ostatni czynnik w tej wojnie, na wskroś psychologiczny jest bardzo poważny. Pierwszy atak niemiecki na W. Brytanię załamał

się. Czekają nas dalsze, ale w przyszłość patrzymy ze spokojem, otuchą i nadzieją.

Brak tej nadziei daje się co raz to bardziej odczuwać w państwach bałkańskich. Szczególnie ciężka sytuacja jest w Rumunii. W Turn-Severin odbyło się pierwsze posiedzenie konferencji węgiersko-rumuńskiej mającej na celu "załatwienie kwestii siedmiogrodzkiej." Jak wiadomo, do tej konferencji została Rumunia zmuszona przez Niemców, którzy wzięli w bardzo podejrzaną opiekę Węgry i ich pretensje rewizjonistyczne. Węgry postawili bardzo ciężkie żądania terytorialne i dali krótki termin do ich przyjęcia przez Bukareszt. Konferencję odroczone na kilka dni, ale Rumunia będzie musiała udzielić odpowiedzi już w najbliższym czasie.

Natomiast rokowania bułgarsko-rumuńskie, które toczyły się w Krajowej zostały nagle przerwane. Powód—wmiśnienie się Rosji w te sprawy. Moskwa udzieliła Bułgarom "przyjaznej rady," aby nie spieszone się zbytnio, odczekano załatwienie "zatarłów rumuńsko-węgierskich"—i zarobiono na tym całym interesie o wiele więcej. Nowe, bardzo charakterystyczne odwrócenie ról. Bułgaria była do niedawnych czasów, całkowita domeną wpływów włoskich. Teraz zaczynają brać tam górę wpływy rosyjskie. Sowiety kuszą Bułgarię nadzieją na "mocarstwo," na dostęp do Morza Egejskiego, na odzyskanie Dobruży. W rzeczywistości małe te państwa bałkańskie stały się pionkami w ręku wielkich mocarstw śródziemno-europejskich, które całą ich "ideologię" oraz "interesem narodowym" targają w jedną albo w drugą stronę. Raz faszystów raz komunizm, raz Berlin lub Rzym—to znów Moskwa.

W rzeczywistości chodzi tu o bardzo skomplikowane a wcale nie uzgodnione interesy trzech państw. Niemcom zależy na dostępie do ropy rumuńskiej. Rosji na wybitcu sobie okna na Morze Śródziemne i urzeczywistnieniu wielkich planów carcy Katarzyny. A Włochy, późno wynajęty pomocnik—wychodzą na tym wszystkim już dzisiaj jak najgorzej. Początkowo wyrugowano całkowicie i ostatecznie wszelkie wpływy rzymskie z Austrii. Następnie z Węgier i Rumunii. A teraz tracą one nawet bardzo dawniej oddaną Bułgarię. Prędzej czy później stracą wszelkie wpływy na Wschodzie, którego zdobycie, zapowiadane na "najbliższe dni" idzie coraz oporniej. W Albanii, która według depesz rzymskich z takim entuzjazmem przyjmowała faszystów—wybuchło powstanie i z Tirany wojska Mussoliniego nie mogą nosa wysunąć. Mussolini robi bardzo kiepski interes pod każdym względem. Wieści nadchodzące z Włoch nie są bynajmniej dla II Duce pomyślne i nie wykluczone, że z wszystkich trzech wielkich totalizmów—włoski załame się najszybciej. Nie będzie to z pewnością ze stratą ani dla samych Włoch, ani dla kultury łacińskiej oraz najściślej z nią związanej kultury europejskiej. tk

KOMUNIKAT

Wszystkich oficerów W.P., bez względu na stosunek do służby wojskowej (służby stałej, rezerwy, pospolitego ruszenia i czasu wojny), którzy nie pozostają w czynnej służbie wojskowej i przebywają w Londynie, obowiązują posiadanie zaświadczenia, stwierdzającego, iż są zwolnieni z czynnej służby wojskowej (przeniesieni w stan nieczynny, urlopowani), wzgl. do czynnej służby wojskowej nie są powołani.

W celu uzyskania takiego zaświadczenia, oficerowie ci obowiązani są zgłosić się w Komedzie Placu w Londynie, 53, New Cavendish Str. (budynek, w którym mieści się Attachat Wojskowy) w dniach 23, 24 i 26 sierpnia br. w godzinach 9-1 przedpoł.—3-5 popoł.

Oficerowie, którzy w wymienionych terminach się nie zgłoszą, zaświadczeń nie otrzymają, co może ich narazić na wyciągnięcie w stosunku do nich konsekwencji ze strony władz bezpieczeństwa.

Komendant Placu



Ta mapa przedstawia działalność ofensywną Królewskiej Armii Powietrznej w ostatnich dniach. Do obiektów zaznaczonych na mapie należy jeszcze dodać świeże bombardowanie olbrzymich fabryk benzyn, syntetycznej oraz montowni aparatów Messerschmidt pod Lipskiem, wytwórni ram lotniczych w okolicy Frankfurtu. Zakładów Zeissu w Jenie oraz przedmieść Berlina.

Polskie święto w szkockim miasteczku



Szkocja dziwnie się odmienia, gdy tylko słońce zaświeci. Z kraju mglistego i szarego staje się niemal tak kolorowa i swojska, jak Podkarpacie. W dolinach pojawiają się nagle ciemno-zielone, iglaste lasy, skały błyszczą, laki pełne są barwy i kwiatów. Nie ma tu tego zatłoczenia domów, jakie przeraża w innych dzielnicach Anglii. Przestrzeń, powietrze, swoboda—wydaje się że nastrój świąteczny i wakacyjny króluje tu bez zmian. Na wzgórzach malowniczo zameczki, pastwiska spokojnie karmią stada owiec i krów. Nic nie świadczy o tym, że jest to dzień największej jak dotąd bitwy powietrznej, nad Anglią.

W małym miasteczku święto w całej pełni—wiszą girlandy z bibulek i sztandar polski powiewa tu i ówdzie obok brytyjskiego. Frapują nas polskie napisy na sklepach—obok angielskiego Hairdresser — wykaligrafowany po polsku "Fryzjer" a na sklepie spożywczym angielskie litery kryje wielka tarcza z białym orłem i festony białoczerwonych dekoracji. Dzieci biegają z chorągiewkami, ubrane odświętnie a na programach miejscowego kina napisał ktoś po polsku nazwy filmów i ceny biletów. Po ulicach cichej miasteczka chodzą grupami nasi żołnierze. Założyli już angielski mundur—nowy, obcisły, elegancki. Z dała sylwetki ich teraz nie różnią się niczym od kanadyjskiej czy angielskiej piechoty, ale spojrzeli bliżej: rysy twarzy, wyraz oczu—od razu ujawnia nam polskość.

Na łące za miastem rzecz dla Szkotów dziwna—ustawiono ołtarz polowy z obrazem Matki Boskiej Częstochowskiej. Obok ołtarza dwa sztandary sprzymierzone, dokoła w wielkim kwadracie zielone szeregi Pierwszej Brygady. Obok szkoccy kobziarze, chłopcy na schwał, w wielkich czapkach i jaskrawych spodnicach stoją wraz z naszymi chłopcami. Goście oczekują już na przyjazd Generała. Siedzą w ławkach dostojnicy lokalni—Burmistrz w pirogu i czerwonej todze, panowie w cylindrach. Więc, gdy auto Generała zajeżdża, szkoccy muzykanci zaczynają dać w swoje, kobzy i o dziwne rozlega się melodia "Jeszcze Polska nie zginęła" nieco zniekształcona i zmieniona zgodnie z wymaganiami tych egzotycznych dla nas instrumentów. Tak się rozpoczęło Święto Żołnierza Polskiego w szkockim miasteczku od szkocko-polskiej muzyki.

Generał i siwy Lord Hamilton zasiadają w fotelach i zaczyna się nabożeństwo. Zaczyna śpiewać chór oficerski, który taki sukces odniósł na występach w szkockiej publiczności. Śpiewają pięknie. Pogoda sprzyja temu polskiemu świętu, świeci słońce, ciepło i zielono.

Rok temu te same znaki i ci sami ludzie święto swoje obchodzili w wolnej Warszawie. Słuchając nabożeństwa, patrząc na szeregi żołnierzy—dziwimy się straszliwej mocy czasu, która nas tu niespodziewanie zaniósła. Ale

jak mówią Anglicy—bliscy im tym jesteśmy, że mamy "Cheerfulness"—zdolność do pogody ducha, nawet w najcięższej doli. Więc, gdy po uroczystej przysiędze i po żołnierskich przemówieniach do wódców następuje chwila wręczenia miasteczku ofiarowanego przez polskich żołnierzy obrazu przedstawiającego Podhalanina—nastrój od razu robi się pogodny, niemal wesoły—tyle radości i humoru jest w tej serdecznej ceremonii. Dostojny burmistrz przemawia dziękując—powiada, że co roku przyjeżdżali tam letnicy, lecz tegoroczni goście są najmiłsi. Jest kłopot z tłumaczem i przez chwilę wszyscy zebrani dokoła obrazu dostojnicy śmieją się serdecznie.

Lecz ile serca dają nam Szkoci—odczuwamy najmocniej, gdy pod koniec uroczystości siwowłosy Lord Hamilton wznosi okrzyk na cześć Generała Sikorskiego. Wyrzuca wysoko czapkę w serdecznej radości i cała zebrana angielska publiczność wraz z paniusiami z miasteczka gromko powtarza trzykrotne "cheers" ku czci Naczelnego Wodza.

Po chwili łąka za miasteczkiem pustoszeje. W miasteczku szykuje się defilada. Już okna i dachy oblepione ciekawymi, dzieci tłoczą się przy chodniku, słońce maluje żywymi barwami udekorowane dpmki. Ustawiono piękną trybunę z polskim orłem, gromady dziewcząt cisną się, żeby lepiej widzieć. Najeżdża Generał Sikorski, wszyscy wiwatują i biją brawa. Szkoccy kobziarze stają nawprost trybuny, cisza zapanała, bo defilada się zbliża—zaczynają grać.

Krok naszych żołnierzy budzi zachwyt. Dziewczyny krzyczą z radości klaszczą w ręce bez przerwy. Małe dzieci trzymane na rękach rodziców patrzą i dziwią się. Łobuzy z miasteczka powłaziły na drzewa i wiwatują czapkami a czasem gwizdają, co w tutejszym słowniku jest wyrazem entuzjazmu. Jest coś z nastroju braterstwa w tym radosnym marszu, między wiwatującymi Szkotami. Widać jak panienki dostrzegają między idącymi tych, których już lepiej poznały i jak spokojnie na miejscu ustać nie mogą. Jak się Szkoci entuzjazmują, to już na całego. Widać jak uroczystość ta cieszy Generała—przyjmuje defiladę z uśmiechem na ustach.

Patrząc na to, czujemy wiew historii. Tułaczka ma rozmaite rozdziały, ale ten szkocki napewno należy do pięknych. Ludzie tu są prości, serdeczni, szczerzy i jakże dobrze rozumieją Polaków. I wiedzą zapewne, ile warte dla żołnierza tułacza to proste i serdeczne serce szkockie, które sprawia, że i na obczyźnie można się czuć jak w domu a żal i tęsknota za swoimi mogą choć na chwilę ustąpić miejsca radośnemu uśmiechowi do bliskich—choć do niedawna obcych—jeszcze zupełnie mieszkańców zamglonej wyspy. Ich bracia, synowie i mężowie tak jak nasi—stają teraz do decydującej rozgrywki, sprawa nasza jest wspólna i wspólny cel, o który toczy się walka.

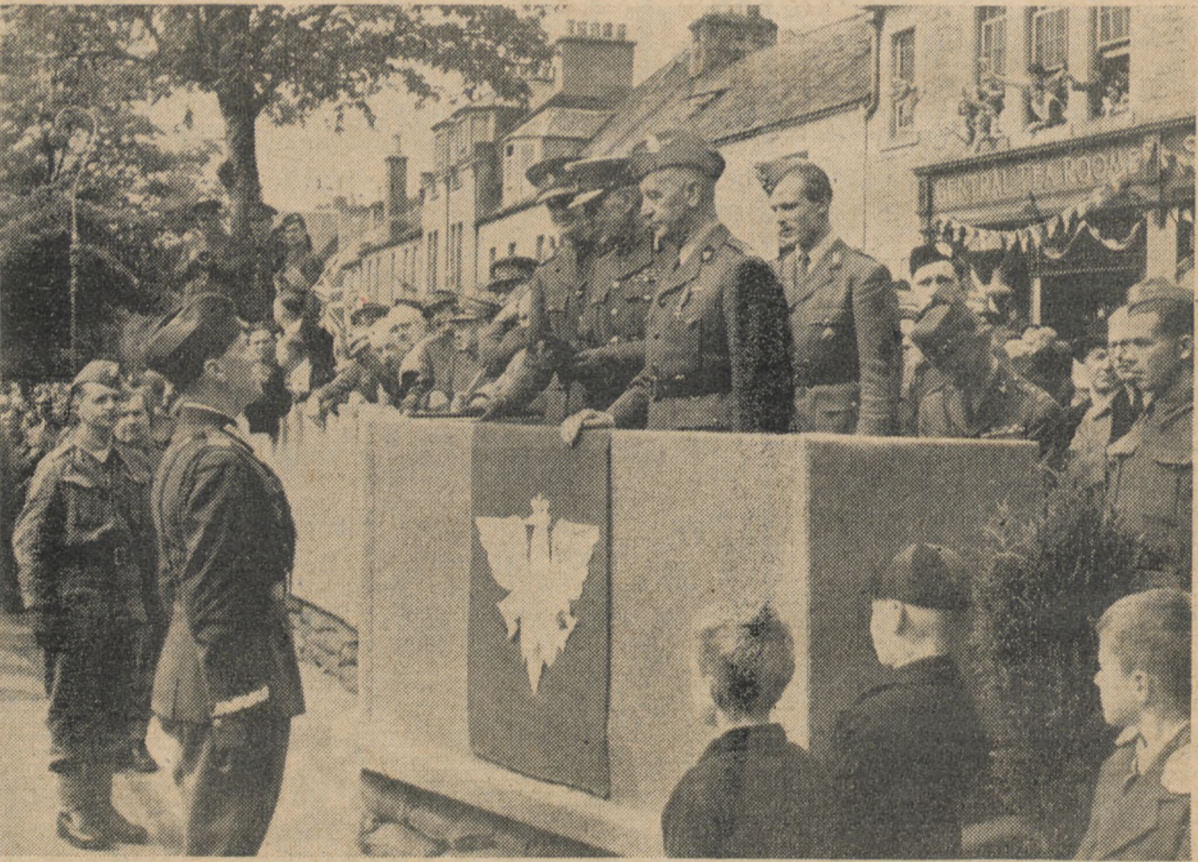
Eugeniusz Cękałski



Przysięga na wierność Rzeczypospolitej



Naczelnny Wódz dokonuje przeglądu przy dźwięku kobz szkockich



Naczelnny Wódz odbiera defiladę na ulicy szkockiego miasteczka

WYDAJE WYDZIAŁ PROPAGANDY I OŚWIATY SZTABU NACZELNEGO WODZA.
Adres Redakcji i Administracji: 23 Beaumont St., London, W.1.
Redaktor przyjmuje w soboty od godziny 11-ej-13-ej.

Printed for the "Polska Walcząca," by St. Clement's Press, Portugal St., Strand, W.C.2.